№ 5. Warszawa, dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41

Od Redakcyi.

Ponieważ skutkiem nadspodziewanego przybytku nowych Prenumeratorów, zapasowe egzemplarze z początkiem powieści p. t. **Zaklęta Księżniczka** w bardzo prędkim czasie wyczerpane zostały, nie chcąc zatem nikogo narażać na zawód, zajęliśmy się przygotowaniem nowej edycyi, którą po wyjściu z druku natychmiast interesowanym osobom prześlemy. Odpowiednie zawiadomienie we właściwym czasie pomieścimy w Tygodniku.

Nowe pisma.

Antrakt — Echo — Tygodnik Powszechny — Goniec teatralny — Nowiny niedzielne.

(Dokończenie).

Drugiem pismem nowem, któremu pierwszeństwo przed innemi należy jest *Echo* wychodzące od nowego roku pod redakcyą p. Zygmunta Sarneckiego chlubnie już znanego w literaturze dramatycznej z wystawień sztuk jego tak w Warszawie jak Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Echo jest pismem codziennem, politycznem, literackiem i społecznem, takiem więc samem jak inne tutejsze gazety, a jednak od pierwszego już numeru pokazującem jasno, że obrało sobie nową drogę postępowania.

Przedewszystkiem cenę prenumeracyjną ma mniejszą niż inne i uszczupliła dość znacznie dział polityki zagranicznej, której wiadomości nieraz w innych gazetach w jednym numerze powtórzone dwa razy, znowu na drugi dzień a często i trzeci podawane zostają tylko z innego źródła. Marnotrawstwo to czasu, papieru i pracy, najcierpliwszych czytelników do niecierpliwości przywodzących, nie da się niczem usprawiedliwić. Echo unika tego: podaje politykę ale ułożoną w streszczeniu z wiadomości dnia ubiegłych, a po niej telegramy. Za to zapełnia się artykułami poświęconymi sprawom mogących ogół rzeczywiście obchodzić i co najdziwniejsze, że ani rozpoczęło ani zapowiedziało druku powieści.

Zdaje się nam że powinno ją zupełnie wyłączyć ze swego programu, bo choć powieści dobrej nie odmawiamy wielkiego znaczenia, wychodzi ich jednak tyle przy innych pismach, że jedno bez niej zupełnie obejść się może. Wreszcie niech ją zastąpią czasami szkice, obrazki społeczne, nowelle, albo urywki z podróży więcej zajmujących, ale kilku tomowych opowiadań niech nie rozpoczyna.

Najwybitniejszem jednak odznaczeniem się pisma tego, jest jakiś duch poczciwy wiejący z artykułów dotąd pomieszczonych, zdrowy pogląd na rzeczy i poważny ich rozbiór. O ile domyślać się należy, współpracownicy są wszystko ludzie młodzi, pełni zapału i najlepszych chęci, umiejący piórem władać i myśleć rozumnie i poczciwie. Nie należą oni do tych co to niegdyś chwyciwszy się dziennikarstwa zaraz po zdjęciu mundurów szkolnych i uniwersyteckich, utworzyli tak przez nich rozkrzyczaną młodą prasę. Znać w nich, że przygotowani poprzednią pracą przystąpili do Echa z nowem zapatrywaniem się na przeznaczenie prasy peryodycznej; że radziby z niej usunąć wszystko co trąci szarlataneryą, blagą, kłamstwem, i co obojętnie traktowane było pomijane z wielką wszystkich szkodą. Taki zastęp młodych pracowników skupionych przy Echu, jakże jest miłym i pocieszającym! Stanowi on chlubę dla nas weteranów i inwalidów pióra, boć to niejako nasi wychowańcy. Idźcie więc dalej drogą przez was obraną, zacni młodzi nasi towarzysze a później następcy w niedalekiej już zapewne przyszłości; siejcie prawdę, służcie jej całem sercem i duszą, brońcie sprawiedliwości, obstawajcie przy słuszności, walczcie przeciw samolubstwu, a nigdy nie zrażajcie się trudnościami któreby was z obranej drogi gwałtem sprowadzić chciały. Życie to walka wcale nie różami zasłana, trwa przelotną chwilkę, ubiega sekundami, ale w każdej niej mieszczą się wieki szczęścia, jeśli człowiek nie uległszy obcczym wpływom spełnia to co czuje że jest jego obowiązkiem.

Tygodnik Powszechny pokazał się w dość pokaźnej szacie, na pięknym papierze i w przystroju rycin wielkich rozmiarów. Z kilku numerów jakie wyszły dotąd, nie chcielibyśmy stanowczego wydawać wyroku, zdaje nam się tylko, sądząc po *Słówku od redakcyi*, że skład jej stanowi ta sama młodzież, co gwałtem się jej zdaje, że świat żyć zaczął dopiero z ocknieniem się jej myśli do działania: że przedtem wszyscy w sennem zostawali omdleniu i dopiero przebudzili się gdy oni do nich przemówili. Dla tego choć mieliśmy zamiar obszerniejszego rozpisania się o wyszłych numerach, dania pewnych wskazówek, wyrozumowanych rad na doświadczeniu opartych, obawa jednak aby nas nie poczytano za starych... gderaczy, bajających w sennem rozmarzeniu wstrzymała od tej przysługi koleżeńskiej. Mimo tego przyznać należy, że na dobrych chęciach redakcyi nie zbywa, ożywia ją zapał i szlachetne pragnienie, byle więc była silna wola i rozważny kierunek to pismo pójdzie i rozwijać się będzie coraz pomyślniej.

Goniec teatralny pismo illustrowane poświęcone teatrowi, sztukom pięknym i sportowi, w pierwszym zaraz numerze mieści dwa portrety, Wojciecha Bogusławskiego zwanego ojcem sceny naszej, i ogiera hr. Tarnowskiego przezwanego Przedświtem, który

odznaczył się główną zdobyczą nagród na torach wyścigowych naszych i zagranicznych. Zestawienie to dość nieszczęśliwe nie radzibyśmy aby się częściej powtarzało. Wizerunki koni nużyćby mogły swą jednostajnością, portrety znakomitości teatralnych tracić na swojej wartości. W prawdzie przy Przedświcie pomieszczono portretowane postacie trenera Lowella i dżokeja Butters'a, ale jeżeli wszyscy ich zawodu ludzie mają podobnie charakterystyczne, wielkie, długie i garbate nosy, to i ta przyprawa mogłaby się przejeść.

Goniec teatralny, jak sam tytuł wskazuje ma służyć głównie teatrowi, sport zaś i myśliwstwo będą uprawiane dodatkowo dla tych jedynie co się sprawą tą interesują i treści jej nie lekceważą. Bardzo to pięknie, ale sądzimy że tu pożądańsze byłyby rozprawy o pożytku tych dwóch działów wprowadzonych do Gońca, jak suche podawanie wiadomości który lord wygrał na wyścigach i wiele, kto zabił niedźwiedzia albo niedźwiedzicę i ilu wyrostków niedźwiedzich zwanych piastunami uchwyconych zostało żywcem a ilu przez psy zajedzonych w wielkich lasach Berezyny Luboszańskiej.

Co do teatru nie wiele tu o nim mowy: wprawdzie jeden dział p. t. Pyłki, w całości jemu został poświęcony ale w prowadzonej rozmowie między panią Julią bardzo światową kobietą i autorem Pyłków przesiąkniętym zagranicą, mieszczą się same drobnostki, ploteczki i wiadomostki niewielkiej wartości a mniejszego jeszcze pożytku.

Pismo poświęcone teatrowi i raz na tydzień tylko wychodzące, sprawy teatralne powinno poważniej obrabiać, być wskazówką dla dyrekcyi, doradczą dla artystów a poradnikiem dla publiczności. Drobnostki zostawić dla Antraktu który wychodząc codziennie świąt nie wyłączając i mając głównie służyć antraktom życia powszedniego w głębsze wszelkie rozprawy nie powinien się wdawać. Radzimy także, mówiąc po prostu językiem dość utartym, porzucić świecenie baki pewnej cząstce społecznej... Gdyby w tem pochlebstwie próżności, można było choć z małych ziarneczek choćby z pyłków tylko upleść wieniec kwiecisty o cudnej aromatycznej woni, nie mielibyśmy nic przeciw temu. Pochlebstwo nie poparte tem wygląda dość nieszczęśliwie a niedźwiedź przemienia się w komara którego zabicie, gdy siądzie na nosie i kąsa, nikomu sławy nie przysparza, choćby patroszenie jego jeszcze w okazniejszej przedstawione było rycinie jak dołączona do Gońca a poświęcona tej czynności na niedźwiedziu dokonywanej.

O Nowinach niedzielnych wychodzących w tym roku pod inną redakcyą, niewiele co można powiedzieć. Mają one zastępować miejsce pism codziennych w dniu tym niewychodzących. Pierwsze wyszłe numera dobrze spełniły swoje przeznaczenie, o dalszych pomówimy później, bo organ każdy nowy mający prawo bytu, zasługuje aby w pierwszym roku swego wychodzenia, cieszył się życzliwą opieką starszych swych towarzyszy. Dla żądnych wiadomości i pragnących codziennie mieć pod ręką coś do przeczytania. Nowiny będą pożądanym nabytkiem, zwłaszcza że i ciekawość zaspokoją i czas przyjemnie z pewnym nawet pożytkiem pozwolą przepędzić.

W tej chwili odebraliśmy pierwszy numer nowego także pisma p. t. *Gospodyni wiejska pismo ilustrowane dla kobiet* poświęcone gospodarstwu domowemu, mlecznemu, hodowli zwierząt domowych, ogrodnictwu, pszczolnictwu, jedwabnictwu i wszelkim gałęziom wchodzącym w zakres zajęć kobiecych. O potrzebie i użyteczności pisma podobnego nie będziemy się rozwodzić, nie mieliśmy go, wychodzenie więc Gospodyni wiejskiej zupełnie jest usprawiedliwione. Przemysł nasz wiejski na gwałt domaga się podniesienia: gdy w innych krajach milionowe przynosi dochody u nas rzec można w zupełnem zostaje zaniedbaniu. O ile z pierwszego numeru Gospodyni wiejskiej sądzić można, pan Lipiński redaktor i wydawca zadanie swoje dobrze pojmuje i jest nadzieja, że dalszą pracą zapełni brak w literaturze peryodycznej dotkliwie czuć się dający. Życzymy mu jak największego współudziału czytelników.

J. K. G.

PRZĄŚNICZKA

z pieśni poetki czeskiej

Elisky Krasnohorskey.

Zapłacz dziewczę, łzy swe roń,
Zachmurz śnieżną swoją skroń,
Biednaś, drżąca, rozżalona,
I stęskniona,
Tak, jak postrzelony ptak...

* *

Wij się nitko srebrnej przędzy...
Szybko — by, do grobu prędzej,
Cóż na świecie? — cóż mi co?
Pusto, głucho — duszę mą
Dręczą dziwne wciąż widziadła;
Dolo bodajeś przepadła!

* *

Czekam, czekam, wśród olszyny
Nie powraca mój jedyny...
Ha! snać taka wola nieba,
Wskoczyć w potok będzie trzeba,

* *

Dziewczę zmilkło, w dali, w dali
Księżyc błysnął wnet z chmur fali,
Na koniku co jak dzwon
Tętni — Kto to? kto to?...
. . . . . . On.

Miron.

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Wszystko to działo się na wsi, gdy ja wyrwawszy się ztamtąd, z wielkiego pana zmieniłem się na s kromnego aplikanta. Nie wiedziałem prawie co się dzieje z przyjacielem, nierychło dowiedziałem się o jego śmierci. Wojciech ów znikł mi z oczów. W kilka lat, gdym już praktykę prawną rozpoczynał, jednego dnia odbieram kartkę od Wojciecha, z aklinającego mnie bym nieszczęśliwego, chorego odwiedził. Przyszły mi na myśl lepsze czasy, a raczej gorsze chyba, i pospieszyłem na wezwanie.

W lichej chacie na Pradze, w izbie brudnej i ciemnej, na barłogu, dopytałem ledwie biednego Wojciecha, a gdyby nie głos dawny, nie poznałbym go, tak straszliwie się zmienił. Co się z nim działo po śmierci pana i przyjaciela, powiedzieć mi się wzbraniał, odsłonił tylko kołdrę którą był przykryty i pokazał mi dwie swoje nogi po kolana ucięte.

— Patrzaj pan jak mnie Bóg ukarał — patrz... Oniemiałem z wrażenia.

— A! panie, zawołał do mnie, wyciągając ręce— panie, to by niczem było... cierpiałbym nie pisnąwszy. Bóg zesłał... ale ja mam dziecię... które matki nie ma, a na to dziecię zarobić —wychować go... nie mogę... a ja to dziecko kocham, i wszystką krew i życie dałbym za nie.

Zachodził się biedny z płaczu.

Chciałem natychmiast radzić obmyślając dziecięciu jakieś wychowanie, jemu schronienie w szpitalu, ale na samo wspomnienie rzucił się jak oszalały.

— Za nic w świecie do szpitala... po żebraninie, ale nie do tej niewoli. Za nic — za nic!

Zacząłem się go dopytywać o dziecię, i dowiedziałem się że je tymczasowo wzięła kobieta uboga a do bra, u której do czasu było bezpieczniem.

W tem miejscu opowiadania, Tekla słuchając zbladła i obu dłoniami oczy sobie zakryła.

Borusławski zamilkł.

— Mów pan — odezwała się energicznie po chwili—mów pan.

— Ten nieszczęśliwy żebrak od ust sobie odejmując, cierpiąc głód, chłód i nędzę dla dziecięcia — dokazał cudu. Jałmużny płynęły hojne, żył suchym chleba kawałkiem, składając je u mnie. W lat kilka do tego grosza wyżebranego, los dał mu spadek po bracie bezdzietnym. Wojciech go nie tknął — wszystko zostawił dla dziecięcia... Jam był jego opiekunem...

Tekla osunęła się zemdlona... lecz mdłość trwała chwilę, podniosła się wnet, chwyciła wodę, wypiła— i rzuciła się do Mecenasa ze złożonemi rękami.

— Panie, zaklinam cię, ani słowa przed mężem moim... Córka żebraka... a! któż wie!

I gorzko płakać zaczęła — Borusławski się obruszył.

— Wstydzić się ojca nie potrzebujesz — chlubić się nim możesz, zawołał, był to bohater poświęcenia. Kochał dziecię i wyrzekł się go, aby mu sobą życia nie zatruć, cierpiał nędzę, aby mu dać wychowanie i dostatek... Możeż być piękniejsze, większe, straszniejsze poświęcenie! A ofiara ta trwała nie krótką chwilę, ale lata długie. Czuł ukochane dziecię blizko, a nie śmiał mu się odkryć z sercem i sobą... dopiero dziś... Ojciec twój jest bez nadziei życia... powołuje cię ku sobie... dodał Mecenas — nie ma chwili do stracenia — należy mu łza córki przy zgonie...

Chodź, pani — jedźmy...

Tekla z załamanemi rękami pobiegła narzucić chustkę tylko, uspokoić dzieci — za chwilę siedzieli już w dorożce, która z rozkazu Borusławskiego jak szalona pędziła ku Staremu Miastu. Przez drogę Tekla milczała i płakała.

Przed jednym z najnędzniejszych domów starych zatrzymały się wreszcie zdyszane konie. Borusławski podał rękę drżącej Tekli, której sił i tchu brakło... Przed niemi były drzwi wązkie i korytarz ciemny wiodący w głąb kamienicy. Przeszli nim aż na maleńki dziedzińczyk, pełen brudów i śmiecia, który, mijając kałuże i stężałe błoto, przebywać musieli aż do wnijścia na tyły kamienicy, gdzie połamane drzwi znowu ich w ciemną sień wprowadziły. Trzeba i ją było przejść całą, szukając omackiem wchodu do małej ciemnej izdebki, w której mało co więcej było światła niż w korytarzach, zewsząd murami opasanego domostwa.

Ciężkie powietrze pełne stęchlizny i wilgoci, wyziewów cuchnących i woni jakichś leków obwiało wchodzących. . których oczy nic zrazu dojrzeć nie mogły.

Mecenas uczuł się pochwyconym za rękę, i głos cichy szepnął mu do ucha:

— Śpi!

Stali więc nie poruszając się z miejsca, gdy zaszeleściło, i po chwilce błysnęło małe światełko... Zapalano małą świeczkę który stara żebraczka łachmanami obwieszona, starała się drżącą ręką osłonić.

Teraz dopiero mogła Tekla, podniosłszy oczy przypatrzyć się temu schronieniu, w którem jej ojciec długie przebył lata. Izba była niemal na pół lochem, małe w grubym murze okienko, ledwie szarego światła trochę wpuszczało. Po nad nim zwieszało się nizkie sklepienie zczerniałe, zbrukane, miejscami do cegieł z tynku obnażone. Tak samo wyglądały wilgotne, gdzieniegdzie pleśnią okryte ściany, dziwnemi plamy podrapane. Parę tarciczek na nich, na których stały garnki — w głębi obity piec nieforemny bez drzwiczek okopcony od dymu... podłoga z cegieł powybijanych, na niej garść słomy, ława złamana... łachmanów kupy... więcej dojrzeć nie mogła przestraszona kobieta.

W kącie na kupie przegniłego barłogu zarzuconej podartą siermięgą, można się raczej domyśleć było niż dojrzeć człowieka.

Dwa czy trzy podobne łoża puste, zmięte, brudne walały się przy ścianach.

O takiej nędzy biedna kobieta wyobrażenia mieć nie mogła — zdało się jej że życie ludzkie w niej było niepodobieństwem, że chyba umierać tu przyjść mógł człowiek.

Tu jednak kilkanaście czy kilkadziesiąt lat ten biedak przychodził dobrowolnie męczyć się otoczony nędzą straszniejszą jeszcze, bo pijaną i rozpustną, aby za grosz wymodlony w progu kościoła dziecięciu dał wychowanie i przyszłość. Tekla pomyślala to i łzy polały się po jej twarzy.

Okropnie wyglądająca stara baba, pomarszczona, czarna, trzymała świeczkę w ręku i stała oczyma ciekawemi wpatrując się w przybyłych. Mecenas ruszyć się nie śmiał.

— Był doktór? spytał cicho.

— A jakże.

— Był ksiądz?

— A był, spowiadał go i namaścił... potem zaraz zasnął...

Niespokojny Borusławski dał znak Tekli, aby została, a sam zbliżył się ku barłogowi, pochylił, aby się przekonać czy żebrak żył jeszcze. Słychać było oddech ciężki i w piersiach chrapanie.

Jak gdyby poczuł zbliżenie się czyje ku sobie, Wojciech westchnął i poruszył się... oczy otworzył... i potoczywszy niemi po izbie, jęknął boleśnie wyciągając ręce.

— To ja! odezwał się Borusławski... Tekla poruszona chwiejąc się podbiegła i uklękła u łóżka.

— Córka twoja! rzekła chwytając rękę zimną — dziecko twoje — ojcze mój...

Zbliżyła się i baba ze światłem... i rozeznać było można bladą, wychudłą twarz umierającego, którego oczy iskrzyły się jeszcze jakby podbudzonem życiem... wlepione w klęczącą nad niem córkę... Na zbladłych ustach... coś jakby uśmiech się błąkał...

Z całych sił rękę Tekli pociągnął do nich... jęknął — i dłoń zimniejąca opadła.

Żebrak nie żył już.

W milczeniu, nieporuszeni zostali nad nim — Mecenas i córka, którą płacz wezbrany w piersiach dusił. Babka trzymająca świecę w ręku, poczęła w tejże chwili półgłosem:

— Anioł Pański...

Na kolanach została przy zwłokach długo Tekla, patrząc na tego człowieka, którego sercu już zastygłemu winna była wszystko.

Łzy płynęły ciągle... zimna dłoń zmarłego spadła na pierś... Rękę przyłożyła do czoła, ostygłe już było... na wargach tylko stężały został ów uśmiech ostatni, z którym skonał biedny Wojciech.

Borusławski prawie gwałtem musiał ją odciągnąć od ciała — i wyprowadził z izby, w której oddychać nie można było dłużej.

Wyszedłszy na dziedziniec płakała jeszcze Tekla... z zapewnieniem że wszystko co potrzebnem będzie do pogrzebu, Mecenas obmyśli.

Niemogąc ją opuścić samą, Borusławski siadł z nią do powozu. Widok ojca, śmierć jego, pojęcie ofiary jaką dla niej czynił — zmieniło usposobienie Tekli. Z odwagą zapatrywała się na tę tajemnicę którą wprzódy ukrywać chciała.

Borusławski prosił ją aby spoczęła u Marysi, odmówiła mu dziękując:

— Jedźmy do domu rzekła — Emil musiał już powrócić — nie mogę, nie powinnam tego taić przed nim. Mam ufność w jego charakterze, sekretów dla niego mieć nie chcę i nie mogę. Powinniśmy oboje, z dziećmi iść za jego trumną. Pójdziemy.

To mówiąc złożyła ręce.

— Mecenasie, opiekunie mój drogi, ty coś mu był jedyną w życiu pociechą... uczyń to dla mnie... niech pogrzeb nie będzie żebraczy, niech będzie bogaty, niech będzie wspaniały. On zasłużył na to...

Borusławski zgadzał się na wszystko.

Z niecierpliwością wyglądała Tekla przybycia do domu, gdzie spodziewała się zastać męża — pilno jej było powiedzieć mu wszystko.

W istocie Emil od pół godziny wrócił był z biura i zdziwiony tem że żony nie zastał, dowiedziawszy się że z Mecenasem pojechała, tłomaczył to sobie jakimś kaprysikiem Marysi.

Bawił się z dziećmi, gdy drzwi się otworzyły, i Tekla rozgorączkowana łzami i żalem, wbiegła rzucając mu się na szyję, z nowym płaczu wybuchem.

Emil osłupiały stał i patrzał, nie pojmując jeszcze co się stało, gdy Borusławski zlekka ująwszy za rękę Teklę, odprowadził ją ku kanapie i dzieci do niej posławszy skinieniem, sam z Emilem wyszedł do drugiego pokoju.

Rozmowa nie trwała kwadransa, i Drażak biegł niespokojny ściskać i uspakajać żonę.

Trzeciego dnia potem z nędznego domu na Starem Mieście, wynoszono wspaniałą trumnę na czterokonny karawan. Tłumy ciekawych napełniły ciasny rynek. Duchowieństwo liczne długim szeregiem stojąc, czekało na złożenie zwłok na wozie. Za nim pieszo w czerni szła zakwefiona kobieta, wiodąc małych dzieciaków dwoje, przy niej, podpierając ją, postępował młody mężczyzna. W jednym rzędzie z niemi Borusławski z żoną... a dalej tłum żebraków. W oknach pełno było widzów milczących, w ulicach stały ściśniętemi kolumnami tysiące ludzi, których zwabiała ciekawość. Szepcząc opowiadano sobie jakieś niebywałe dzieje, osobliwsze przygody... i wskazywano palcami na towarzyszących pogrzebowi żebraka.

Wojciech jak się okazało ze złożonych przez Mecenasa rachunków i spisanego przed śmiercią testamentu — chociaż córce płacił tylko rocznie trzy tysiące aby ją do zbytku nie wdrażać i od pracy nie odrywać, zostawił z żebraniny, ze spadku po bracie i oszczędności przeszło dwakroć sto tysięcy złotych.

Mogłoby się to wydawać niepodobnem do prawdy, gdyby nie było — prawdziwem.

Pani Emilowa i jej mąż nie czynili wcale tajemnicy z historyi biednego Wojciecha — rozeszła się ona z ust do ust po mieście i — jednego czasu—obiadowego, Filipowicz wpadł do domu tak poruszony, a do gabinetu pani z Villamarinich z takim trzaskiem nieprzyzwoitym, że słusznie oburzona niewiasta, powitała go piorunującem — A już!

— Otóż nie! nie! krzyknął Filipowicz—nie i nie— ale coś takiego dowiedziałem się — jak się zowie — że oszaleć!! no! oszaleć! sfiksować, zwaryować!

— Co ci jest! spokojnie odparła majestatyczna z Villamarinich.

— Wystaw sobie — no! panna Tekla, owa *zaklęta księżniczka*, cośmy to ją mieli za coś tak nadzwyczajnego... krwi wielkiej, pamiętasz, ty sama, admirowałaś zawsze jej arystokratyczne rączki i nóżki, dystynkcyę!!

Filipowicz uderzył się po biodrach.

— Wiesz, kto była panna Tekla? wiesz? wiesz?

— No — nie nudź że — mów...

— Córka żebraka Wojciecha, co bez nóg siedział pod Dominikanami.

Pani z Villamarinich zerwała się przerażona z fotelu... książka, którą czytała, spadła na ziemię.

Filipowicz ją zaraz podniósł.

Załamała białe dłonie.

— Nie może być!

— Tak jest — tak!... tak! jak się zowie. Powiedzieli mi to w cukierni.

— A! widzisz, byłeś w cukierni.

— Chcę mówić w aptece — gdzież w cukierni! nie bywam nigdy po cukierniach, chodziłem z receptą Malcza do apteki po lekarstwo dla panny Gertrudy. Słowo daję, jak się zowie.

Powiedzieli mi w aptece — nie uwierzyłem. Myślę sobie, toć nas przecie obchodzi, tyle lat u nas była... lecę do Borusławskiego, dobijam się... gwałtem... Nie puszczają... biegnę do samej. Prawda to? córka żebraka? A ta, bez ogródki powiada — A prawda! żebrak ten wart był książęcej mitry.

Et, zwyczajnie córka szynkarza! dodał Filipowicz.

Pani z Villamarinich stała zadumana.

— O to Rabsztyński miał nos! o to miał nos... odezwała się — a nużby się z nią był ożenił...

W tem zadzwoniono — wpadła jak kamień z procy ciśnięty Ciocia Baronowa zdyszana, spocona, osłabła, a mimo to z nieodstępną czkawką.

— Droga moja! krzyczała od progu — droga moja — słyszałaś... o tej Tekli...

— Właśnie Filipowicz mi to przynosi, ale on...

— Ale tak jest! tak jest! Wystaw sobie... szlachcic był autentyczny... i przeszło dwakroć sto tysięcy gotówką w listach jej zostawił... Przeszło dwakroć.

— A! tego to ja nie słyszałem — jak się zowie— odezwał się Filipowicz — jakimże sposobem? E!

— Autentyczna rzecz... Drażak dobra kupuje... targuje wieś... Słowo daję...

Wszyscy stali w niemem osłupieniu... pani z Villamarinich ozwała się z westchnieniem.

— O gdyby się pan Maks ożenił z nią... proszę pani, drżę na samą myśl...

— E! e! kiedy szlachcianka! odparła Baronowa— oczywista rzecz że ta żebranina to musiała być jakaś pokuta... Może mu spowiednik ją nakazał, kto to może wiedzieć? Żeby się Maksio był ożenił, słowo daję, nie pisnęłabym słowa, byłby Rabsztyński oczyścił, panna niczego... a tak!

Filipowiczowie spojrzeli po sobie.

— Historya z tysiąca nocy! odezwała się pani

z Villamarinich — i proszę pani Baronowej, że to u mnie na pensyi musiało się stać! u mnie!

— Historya z tysiąca nocy! słowo daję — westchnęła Baronowa.

W dzień rozstania.

Chcesz upominku, chcesz kwiatka z mej dłoni,
Coby ci kiedyś przypomniał, że chwile
Razem spędzone — choć już w wieków toni
Spoczęły, nieraz są wspomniane mile.

Jeśli chcesz kwiatu o barwach jaskrawych,
O słodkiej woni, czcze życzenia twoje:
Ja ci dać mogę cierń o śladach łzawych,
Które tam oko zostawiło moje.

Mogę dłoń twoją ścisnąć w dzień rozstania,
Serdecznie, szczerze, serca silne bicie
Zagłuszyć zwykłem słowem pożegnania,
Żal mój na zawsze w duszy unieść skrycie.

Pamięć o tobie zachować na wieki
Nietrudno będzie, gdyż na każdym kroku
Jako sen piękny, jasny, choć daleki,
Obraz twój żyje w mem sercu i oku.

Eliza R.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegii.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Później system ten rozciągnięto do najniższych oficerów, a w końcu i do żołnierzy. Dziś właściciele ziemscy są obowiązani dostarczać rekrutów do armii, każdy wieśniak musi dostawić królowi jednego kawalerzystę, piechura lub marynarza i w tym celu obowiązany jest wyszukać i przedstawić młodzieńca, który podpisuje zobowiązanie iż będzie służył w wojsku dopóki mu sił starczy, to jest około trzydziestu lat, wyekwipować go, dać mu mieszkanie i pole, a nadto dopłacać mały dodatek do żołdu, pomagać w uprawie nadanej mu ziemi, w razie śmierci dać za niego zastępcę, mieć staranie o jego rodzinie i o nim, jeśliby wiek lub odniesione rany zmusiły go opuścić służbę, zaś podczas jego nieobecności czuwać nad rodziną i polem.

Ziemie przeznaczone na utrzymanie żołnierzy jakiegoś pułku, leżą w sąsiedztwie posiadłości oddawanych oficerom na dożywocie, tak więc wszyscy przebywają razem jak i rozłożeni na leże, przywiązani do gruntu pod czujnem okiem oficerów i dowódzców.

Tak rekrutowane wojsko nosi tu nazwę *indelta* i przez cztery tygodnie w roku odbywa manewra. Zaciągnięci jak najregularniej stawiają się na wezwanie i są nadzwyczaj chętni i posłuszni, tak że pomimo niesłychanej karności zachowywanej w wojsku szwedzkiem, nadzwyczaj rzadko zdarza się potrzeba wyznaczenia jakiejś surowej kary. Pomimo że ćwiczenia wojskowe trwają bardzo krótko, wojsko manewrowało regularnie, chociaż skutkiem systemu *indelta*, Szwecya ma żołnierzy bardzo starych, przeszło po dwadzieścia lat zostających w szeregach, a jednak rzeczywiście zaledwie po dwadzieścia miesięcy zostających pod chorągwią.

Tak więc rzeczywistą armię stanowi *indelta*, ale prócz tego Szwecya ma przyboczną gwardyę królewską liczącą około 6,000 ludzi, złożoną z ochotników obowiązujących się sześć lat zostawać pod bronią i utrzymywanych wyłącznie kosztem Państwa, oraz rodzaj milicyi, zwanej *beveareng*, którą składają wszyscy mężczyzni nie należący do gwardyi ani do *indelty*; milicya ta przez piętnaście dni w roku odbywa ćwiczenia i w czasie wojny mogłaby służyć za rezerwę.

Rząd szwedzki wie doskonale, że oryginalna ta organizacya wojskowa, nie odpowiada dzisiejszemu położeniu Europy i wymaganiom militarnym; to też corocznie przedstawia sejmowi projekt reformy wojskowej, ale chłopi stawiają zawsze systematyczną opozycyę i wniosek upada.

Podziękowawszy serdecznie oficerom obozu na Försen za ich serdeczną gościnność, udaliśmy się w dalszą podróż na Zachód, odbywając ją już to kariolką już statkiem. Na szwedzkiej pochyłości Alp skandynawskich, prawie do samego szczytu piętrzą się jeziora, z oddali wydają się jakby olbrzymie schody, których stopnie utworzone są z przezroczystych wód zwierciadeł a poręcze ze skał. W Skandynawii najczęściej podróżuje się statkami, podróżnik spotyka po swej drodze stacye wioślarzy niby przeprzągi pocztowe i tam za cenę oznaczoną taryfą, ma prawo żądać łodzi z dwoma, czterema lub sześcioma wioślarzami. Na nasze żądanie wioślarze ci przygotowali swe długie pirogi, wyłożyli dna świeżą słomą, na której położywszy się wygodnie, spoglądaliśmy na uciekające wybrzeża, pagórki i góry, a przewoźnicy nasi robili wiosłami z towarzyszeniem smętnego i monotonnego śpiewu, w jakim lubują się ludy Północy.

W cztery dni po opuszczeniu Sundswall'u, krajobraz zmienił się i sposępniał *Areskutan* znikł nam z oczu, gdyż szczyt wznosi się gdzieś wysoko po nad naszemi głowami, a kariolka ociera się prawie o jego stopy. W przejeździe pozdrawiamy kataraktę Tannförsen, największą i najwspanialszą w całej Szwecyi; przez otwór jeden i z wysokości 90 stóp, całe jezioro przelewa się w inne jezioro. Słup pary, poruszany powiewem wiatru wiecznie osłania kaskadę; otaczał on nas nagle jakąś wilgotną mgłą w której igrają promienie słońca, orzucając nas jakby łamiącą się różnobarwną tęczą. Widok to prześliczny, oprawny w ramy godne takiego obrazu. Naprzeciw Tannförsen, *Areskutan* panuje nad amfiteatrem nagich wierzchołków; katarakta skazana na wiekuiste wrzenie spogląda z zazdrością na nieruchomego olbrzyma, stojącego dumnie na swej granitowej podstawie.

O kilka mil od Tannförsen rozpoczyna się wąwóz prowadzący do Norwegii, i okolica zmienia się raptownie. Przyroda norwegska nie chce być podobną do szwedzkiej; wszystko odmienne jest w tych dwóch krajach, które polityka związała z sobą.

W tem koń zatrzymał się nagle, przed nogami jego stanęła przepaść rozdzierająca górę; trzeba powoli spuszczać się na dół trudną i niebezpieczną drożyną. Tu i owdzie ostre skały zagradzają przejście, po bokach sterczą ogromne złomy, niby kolumny zdobiące bramy Norwegii. Wkrótce zagłębiamy się w wąwóz do którego nigdy nie dosięgły promienie słońca. W głębi jego strumień wód wydziera się z uścisków gór, kilka jodeł wyrasta z kamienia i jakby zrozpaczone pochylają się nad nasze głowy.

Wąwóz ten jest jakby szczerba wybita w łonie góry szpadą jakiegoś olbrzyma: kilku górali mogłoby tu powstrzymać całą armię; nie ma żadnej nazwy, a jednak możnaby go nazwać Termopilami.

Podróżnik wkraczający w granice Norwegii, nie miejscowy ale angielski język usłyszy najpierw. Anglia dokonywa nieustannych podbojów bez bębnów i wystrzałów, nie zakłócając spokoju; dziś zamierza zamienić Norwegię w drugą Szwecyę. Radzimy podróżnikom ubiegającym się za miejscowym kolorytem, aby pospieszali zwiedzić Norwegię, gdyż przebywające tam nieustannie tłumy Anglików i Angielek, przynoszą tam z sobą swój język, obyczaje a nawet i kuchnię. Niektóre wyrażenia angielskie zdobyły sobie tu już prawo obywatelstwa; Norwegczycy nie mówią już np. *ja* tylko *yes*.

Na zakręcie drogi ukazała nam się rzeka, tocząca z szumem swe spienione fale; nad jej brzegiem ciągnie się ulicą szereg nędznych domków. Ulica ta jest bardzo długa, jesteśmy nareszcie w Trondjem, które nie wiem dla czego w geografiach przechrzczono z niemiecka na Droutheim. Trzeba już być w mieście aby go dojrzeć. Zbudowany w głębi zatoki, Trondjem otacza się od strony lądu potrójnym szańcem skał i gór, który koniecznie przywodzi na pamięć, że miasto to tak oszańcowane, zanim zostało stolicą starej Norwegii, było pierwej schronieniem morskich rozbójników.

VII.

TRONDJEM. — POMPEJA GOTYCKA. — SKAŁA MUNCKHOLM. — OBJAD Z PODWÓJNYM CELEM. — DOVRE-FIELD. — ŁĄKI NAD DOMAMI. MIESZKAŃCY. — PAN-WIEŚNIAK — LAPONJA NA SZCZYCIE ALP.

Trondjem zawiodło nasze oczekiwania i nie odpowiedziało urokowi jakim przyodziała go nasza wyobraźnia. Zamiast starożytnej metropoli znaleźliśmy jakby małą mieścinę wielkich rozmiarów, miasteczko prowincyonalne z pretensyą do wyglądania jak modna stolica. Trondjem ma bulwary osadzone drzewami, place z kątami prostemi, magazyny w których trzymają artykuły paryzkie, domy kilko-piętrowe, a nawet i pałac, ale i domy i pałac są drewniane, koloru makadamu. Jednakowoż Trondjem posiada jedną relikwię przeszłości: piękną katedrę, jeden z największych skandynawskich pomników gotyckich, godną zwrócić uwagę każdego umiejącego cenić wielkie dzieła średniowieczne. Nie objawia się ona z oddali przez wieżyce strzelające pod niebiosa, tylko jakby okaleczona stoi w kącie miasta, który był środkowym punktem starej Nidaros, matki Trondjemu.

Piorun który w nią uderzył uszkodził wieże, łuki i fasadę, przez co stała się podobniejszą do ruiny niż do kościoła. Co rozpoczął grom z nieba, dokonały głównie podpalacze; po dziś dzień pozostały na murach czarne ślady pożaru, świadki zarazem wściekłości i bezsilności. Wszędzie sterczą piedestały pozbawione posągów, próżne nisze i ułamki kolumn. Jednak wśród ogólnego zniszczenia gdzieniegdzie przechowały się nienaruszone posągi, których twarze noszą na sobie piętno wieków co je wytworzyły. Dzięki swej silnej wierze snycerze średniowieczni byli prawdziwymi artystami, i choć niekiedy zbyt ciężka draperya nie dozwalała odgadywać kształtów ciała ludzkiego, za to w natchnionej twarzy przebijała dusza.

Jedna z bocznych naw zapadła się zupełnie; bezkształtne szczątki kolumn i posągów zalegają prze-

strzeń w której niegdyś tłoczyły się tłumy wiernych. Do wnętrza kościoła niepodobna dostać się głównem wejściem, rusztowania, gruzy i cegły przejść nie dozwalają; wcisnęliśmy się bocznemi drzwiami po za któremi roztoczył się przed nami labirynt ciemnych korytarzy i galeryi, wijących się w najrozmaitszych kierunkach. Nie wiemy gdzie zwrócić swe kroki; nareszcie przez gotycką arkadę dostaliśmy się do stojącej w ruinach kaplicy. Niektóre przejścia wiją się po nad brzegami niezgłębionych okiem przepaści, inne są tak wązkie iż zaledwie można się przesunąć między dwiema ścianami. Gdzież się podziała owa nawa o której pisali starożytni kronikarze, nazywając ją cudem Północy? Miała ona 346 stóp długości a 84 szerokości; w około wznosiło się 32 ołtarze, podparte 3,360 kolumnami. Nie mogąc zniszczyć olbrzymiej tej nawy, reforma zapragnęła przynajmniej zmienić ją do niepoznania; zagarnąwszy kościół lutrzy zagrzebali chór, nawy, kaplice i wieko we kolumny pod pokładem wapna i gipsu przeszło na sześć metrów grubym, i dopiero w tak skarykaturowanym kościele, odprawiali swe nabożeństwo. Dziś, Norwegia boleje nad tem barbarzyństwem i pragnie przywrócić gotyckiemu pomnikowi pierwotną budowę; ogłoszono publiczne składki i rozpoczęto odkopywanie. W około nas rozlegał się odgłos narzędzi pracujących robotników, patrzyliśmy na poszukiwania dokonywane w tej gotyckiej Pompei; setki pracowników z młotami i pochodniami w ręku przebiegają galerye tak ciemne jak podziemia Herkulanum, co krok objawiają się nieznane cuda, wyłaniają zagrzebane arcydzieła. W tem nagle, w końcu galeryi zabłysła jasna gwiazda; powiększa się co chwila, kierujemy się za nią; nareszcie widzimy światło dzienne, doszliśmy do odgrzebanego chóru gdzie światło słoneczne błyszczy w całej pełni, wdzierając się przez okna. Cóż to za prześliczne rzeźby, jakie bogactwo różowych i zielonych marmurów!

Patrząc na ten wspaniały pomnik pracy ludzkiej, zniszczonej przez ludzi, głęboki smutek ogarnia duszę. Na wzniesienie wspaniałej katedry w Trondjem, składały się wieki pracy i geniuszu; ileż to pokoleń wytarły kolanami te płyty marmurowej posadzki, klęcząc na niej w gorącej zatopione modlitwie! Tu koronowali się królowie i zawieszali swoje zwycięzkie trofea; każdy okręt wpływający do portów Norwegii składał w dani bazylice ozdoby przywiezione z dalekich świata krańców, podobnie jak wszystkie galery weneckie składały po jednym kamieniu na wznoszący się ołtarz Św. Marka... aż nadeszła chwila gdy lutrzy Szwedzi oblegli Trondjem, i właśnie gdy przypuszczali szturm do katedry, prymas Norwegii, otoczony biskupami i duchowieństwem modlił się u stóp ołtarza wzywając miłosierdzia Bożego, a kobiety, starcy i dzieci po raz ostatni byli świadkami odprawiającego się tu wspaniałego katolickiego nabożeństwa, po raz ostatni modlili się przed ogromnym relikwiarzem Św. Olafa, patrona miasta. Tłum fanatyków luterskich wybił drzwi i wdarł się przemocą do świątyni; rozrzucili i sprofanowali relikwie, podarli ornaty i ubiory kościelne, pomordowali kapłanów. Katedrę zamienili w stajnię, relikwiarz w ryksdale, biskupów w męczenników.

Przed laty dwoma katedra Trondjemska zajaśniała chwilowo dawnym przepychem; zgodnie z odwiecznym zwyczajem, Oskar II-gi król Szwecyi, koronował się tu na króla Norwegii. Zwyczaj ten, zaniedbany po podboju duńskim, został przywrócony i obowiązuje monarchów według konstytucyi z 1814 r. Od czasu dawnych królów norwegskich pierwszy Bernadotte poddał się ustawie i wznowił tym sposobem dawną tradycyę narodową. Wieczorem tegoż dnia, dawny marszałek Francyi, który swą laskę zdobną pszczołami zamienił na podwójną koronę, zwierzał się poufnemu przyjacielowi swemu Adlerkreutz'owi z doznanych wrażeń; mówił że był bardzo wzruszony, że przypomniał mu się obrządek który żywsze jeszcze kiedyś obudził w nim wrażenie. „Było to, mówił, koło 1780 r. rzecz działa się w pułku gwardyi francuzkiej. Pewnego dnia, na paradzie, zostałem wywołany przed front; poczem sierżant pokłonił mi się szpadą i zawołał zwracając się do pułku: „W imieniu króla rozkazuję wam uznawać kapralem Jana-Karola Bernadotte". Dziś wprawdzie nazywają mnie jeszcze Janem-Karolem, ale już nie jestem kapralem".

W Trondjem ślady przeszłości kryją się pod nowoczesnem miastem; chcąc dojrzeć starannie szukać ich trzeba. Wały arsenału wznoszą się na szczątkach dawnego pałacu królów norwegskich; olbrzymie pozostałe szczątki murów, świadczą po dziś dzień o dawnej jego świetności. Obecnie monarcha przyjeżdżający koronować się w Trondjem, zamieszkuje w nowym pałacu. Pałac ten uważany jest za największy w świecie gmach drewniany, co przecież nie dodaje mu piękności.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

W chwili, gdy korespondencya ta dostanie się do rąk czytelników, karnawał będzie się miał ku schyłkowi; nie obawiam się jednak popaść w sprzeczność z faktami, jeżeli już dziś z góry powiem, że tegoroczny karnawał wcale nie zasłynął w kronice zapust lwowskich. Jest to wcale nienowe spostrzeżenie, że Lwów z każdym rokiem mniej ochoczo i wesoło spędza uprzywilejony sezon zabaw, że karnawał przestał już być tem, czem był dawniej, jeżeli tradycye nie rozmijają się z prawdą, jeżeli i tutaj nie odzywa się tylko wrodzona naturze ludzkiej tęsknota za wszystkiem co minęło, stereotypowy żal za dawnemi czasy. Ale nie potrzeba sięgać w zbyt daleką przeszłość, nie potrzeba odgrzebywać wiekowych tradycyi, kiedy to Lwów słynął ze swoich zapust, ażeby uznać że w tym razie tęsknota za dawnemi czasami jest usprawiedliwiona i nie wynika wyłącznie z nałogowego lekceważenia teraźniejszości. W kilku ostatnich latach zaszła już pod tym względem tak widoczna i niekorzystna dla młodego pokolenia zmiana, że poświadczyć to mogą nie sami weterani karnawałowi, lecz nawet jego najmłodsi bohaterowie. W ubiegłym roku, porze karnawałowej towarzyszyły nieustanne skargi na nędzę panującą w kraju z powodu nieurodzaju, widmo formalnej klęski głodowej stawało każdemu przed oczyma i zatruwało ochotę do zabaw, dziennikarstwo wskrzeszało nieustannie to widmo i psuło humor zapustny — a mimo to przecież karnawał zeszłoroczny zaczynał się o wiele lepiej niż tegoroczny i zaraz na wstępie przygotowywał sobie tyle publicznych balów i prywatnych zabaw, ile dziś nikt dotąd nie odważył się zapowiedzieć. Nie będąc znawcą tajemnic karnawałowych nie możemy tego wytłomaczyć, nie probujemy nawet odgadywać przyczyny. Czy jest to spóźniony skutek zeszłorocznych klęsk, jakiemi kraj istotnie nawiedzony został, czy umysły przygnębione widokiem widma wojennego nie mogą zdobyć się na polot karnawałowy, czy wreszcie spoważnieliśmy tak bardzo, że zdrożnem się nam wydaje nawet wesołe spędzenie tak krótkiego karnawału jak tegoroczny? Ostatnia przyczyna wydaje się najmniej prawdopodobną, bo Lwów nie lubi czy nie umie być poważnym nawet tam, gdzie powaga jest niezbędną, a cóż dopiero mówić można o spoważnieniu i zobojętnieniu na niewinne wybryki, za które nie odmówiłby mu zupełnej absolucyi!

Publiczność szukająca rozrywki może sobie teatrem powetować uszczerbek doznany w początkach tegorocznego karnawału. Od kilku dni bowiem odbywają się codziennie przedstawienia nieznanej dotąd pięcioaktowej komedyi genialnego Fredry p. n. „Wielki człowiek do małych interesów". Jest to pierwszy utwór z całego cyklu nieznanych dotąd komedyi Fredrowskich, które stosownie do życzenia autora publiczność oglądać może na scenie dopiero dziś po jego śmierci. Teatr był oczywiście przepełniony na każdem przedstawieniu a publiczność bawiła się wybornie i przebaczyła chętnie dyrekcyi podwyższenie cen wstępu. Już to dyrekcya nasza jest tak skora do podwyższania cen, że gdyby w innych kierunkach zarówno stopniowała swoje usiłowania, teatr nasz mógłby się mierzyć z pierwszorzędnymi w Europie scenami!

Krytyka znalazła się w kłopotliwem położeniu w obec autora Fredry, gdyż nie wiedziała jaką skalą mierzyć jej wartość. Większość krytyków wzięła za skalę najznakomitsze utwory Fredry, co więcej wzięła ogół utworów ze wszystkiemi ich niepospolitemi zaletami uznając, że ubliżyłoby to literackiej pamięci największego komedyopisarza polskiego, jeżeliby jego nieoceniona spuścizna miała być porównaną z miernemi utworami dzisiejszych autorów. Ale mimo tak wysokiej skali sąd wypadł tak, jak oczekiwać wypadało. Niezrównany humor, wyborna charakterystyka i świetna dykcya odpowiedziały wszystkim wygórowanym oczekiwaniom.

Za kilka miesięcy miała odbyć się we Lwowie wystawa rolniczo-przemysłowa, a dotąd nic nie słychać o przygotowaniach. Jeszcze w lecie wyraziłem zdziwienie, że komisya wystawowa tak powolnie traktuje tę sprawę i wystawia Galicyę na zawód jeżeli nie na kompromitacyę. Wątpić należy, czy cel zostałby osiągnięty w zupełności, chociażby nawet komisya wzięła się jak najenergiczniej do dzieła i starała się powetować despotyczną powolność. Do takiego wytężenia energii i gorliwości snać komisya nie ma zbyt wielkiej ochoty, bo zajmuje się teraz — kwestyą odroczenia wystawy! Wystawa ma być odroczoną, może już nawet musi być odroczoną dla braku czasu do niezbędnych przygotowań, ale o tym właściwym powodzie nikt nie wspomina, bo jakżeż można przyznawać się otwarcie do grzesznej powolności, mówiąc bez ogródek, do pospolitego niedbalstwa. Ażeby osłonić ten powód właściwy, komisya wystawowa zwala całą winę — niepewności sytuacyi zewnętrznej! Ależ to zakrawa na śmieszność! Sytuacya zewnętrzna nie przeszkadza Francyi przygotować się na olbrzymią wystawę powszechną; Czechy nie zważając na sytuacyę zewnętrzną, właśnie teraz zapowiedziały wystawę podobną z programu do galicyjskiej a tylko lwowska komisya jest krępowana tem, że Turcya stawia opór Europie! Członkowie komisyi wystawowej widocznie posiadają więcej sprytu dyplomatycznego aniżeli gorliwości i zdolności do urządzenia wystawy.

Od kilku tygodni jesteśmy tu świadkami ciekawego widowiska w świecie dziennikarskim. Nasza prasa słynie wszędzie a przynajmniej słynęła dotąd z ciągłych niesnasek i wzajemnych rekryminacyi, które czasem przybierały charakter tak drażliwy dla panów redaktorów, że aż przed sądem się musieli oczyszczać z zarzutów. Dwa główne dzienniki niezawiśle słynęły właśnie z tego, że nigdy nie mogły się zgodzić na jedno zdanie. Jeżeli jeden z nich nazwał co białem o godzinie ósmej rano, koleżka jego opuszczający drukarnię po południu starał się

wykazać, że to co białem nazwano, jest czarne jak węgiel. W kwestyach politycznych antagonizm ten posuwany do ostateczności nie raził tak dalece jak w innych sprawach, gdzie podobna niezgodność zdań zakrawała na niewinną igraszkę, lekceważącą poważnego czytelnika. Przed kilku tygodniami znalazła się jednak sprawa, w której oba dzienniki niezawisłe zgadzają się ze sobą zupełnie a nawet pociągnęły za sobą najmłodszego członka rodziny dziennikarskiej, który „wychodzić" zaczął dopiero przed sześciu miesiącami i dotąd szuka drogi do „wyjścia" z dysharmonii pomiędzy potrzebami codziennego wydawnictwa a szczuplutkiem kołem prenumeratorów. Sprawę, w której zapanowała taka przykładna harmonia między dziennikami lwowskiemi, nie wyjmując nawet pism ściśle literackich, stanowi zamiar wyrugowania Gazety Lwowskiej ztamtąd, gdzie ona pod obecną redakcyą zjednała sobie wielu czytelników, mimo urzędowej cechy swojej. Gazeta Lwowska stała się istotnie bardzo niewygodną współzawodniczką dla niezawisłych dzienników, bo faktem jest, że od czasu nastania nowej redakcyi t. j. od trzech lat liczba jej prenumeratorów wzrasta nieustannie i z 350 podskoczyła na 1380. W Galicyi koło czytelników nie rozszerza się tak szybko, ażeby prenumeratorów Gazety Lwowskiej uważać można za całkiem świeżych miłośników literatury peryodycznej, więc rzecz oczywista, że około tysiąc prenumeratorów porzuciło dzienniki dawniej prenumerowane. Zmiany tej dokonała redakcya Gazety Lwowskiej, nietylko tem, że jak dziś podnoszą nawet ci, którzyby chcieli jej grób wykopać, starała się posiadać zawsze świeży i oryginalny fejleton, lecz także tem, że unikała wszelkiego udziału w skandalach, które u nas tak bujnie zakwitły, że w końcu musiały obudzić niesmak w całej publiczności. Na Gazetę Lwowską uderzyły dziś wszystkie dzienniki naraz, w porze odnawiania prenumeraty i do tego w numerach, które z powodu świąt zostawać miała w rękach czytelników! Atak ponowił się po świętach równie gwałtownie i ustał dopiero wtedy, gdy przestała płynąć wszelka prenumerata. Mówią jednak że nie koniec na tem, że ataki ponawiać się będą na schyłku każdego kwartału, cały rok, nawet dwa lata, jednem słowem dotąd, dopóki Gazeta Lwowska nie przestanie być czytaną. Publiczność zdziwiona tak zawziętem wystąpieniem przeciw Gazecie Lwowskiej, szukała w jej łamach odpowiedzi jeżeli już nie ostrej to przynajmniej złośliwej. Tymczasem Gazeta Lwowska milczy i zadawala się tem, że publiczność sama uznała niesłuszność napaści, gdyż ustawicznie pomnaża liczbę jej prenumeratorów i nie zważa na terroryzm innych dzienników.

Względy osobiste nie pozwalają wdawać mi się w sądy o literackiej i dziennikarskiej wartości Gazety Lwowskiej w porównaniu z wartością jej kolegów i koleżanek. Za to te same względy pozwalają mi powiedzieć, że wszystko co prasa lwowska zarzuciła Gazecie Lwowskiej co do jej szkodliwych dążności, jest fałszem i zmyśleniem obliczonem na łatwowierność czytelników. Zuchwale podsunięte dążności i śmiesznie, przekręcane zdania musiały poprzeć klątwę rzuconą na Gazetę Lwowską a tymczasem głos ogółu nazwał to po właściwem nazwisku t. j. pospolitą zazdrością i nielojalną konkurencyą. Niech nasze dzienniki niezawisłe okażą większą staranność i troskliwość w zaspokojeniu potrzeb czytającej publiczności, niech przestaną być stekiem niesmacznych, często nawet wstrętnych skandalów a konkurencya Gazety Lwowskiej nie będzie dla nich groźną. Tak zapatruje się na całą tę sprawę ogół spokojnych i poważnych czytelników!

Staraliśmy się przedstawić Czytelnikom Tygodnika całą tę wojnę dziennikarską jaknajzwięźlej, ale i to jeszcze wydać się może niezwykłem, bo sprawa zakrawa tylko na lokalny wypadek. Tak jednak nie jest, gdyż walka ta odbiła się po za granicami Galicyi, w Poznaniu, a nawet zwróciła na siebie uwagę dzienników wiedeńskich.

Nakładem sympatycznej księgarni polskiej A. D. Bartoszewicza, pojawiły się cztery nowe tomiki biblioteki dziecinnych teatrów amatorskich. Są to same dwuaktowe komedyjki: „Grymaśnica ukarana" Maryi Popławskiej (uwieńczona pierwszą nagrodą konkursową) „Leniwy Staś" Maryi Mirkowskiej (uwieńczona drugą nagrodą konkursową) „Pracowite pszczółki" Maryi Grabowskiej (premiowana na konkursie) i „Macocha" Maryi Popławskiej (polecona na konkursie). Konkursy na utwory dramatyczne dla dzieci są dziełem pana A. D. Bartoszewicza, dawniej redaktora Mrówki, obecnie księgarza a w obu zawodach równie gorliwego i zasłużonego. P. Bartoszewicz nie oddał się merkantylizmowi księgarskiemu, który goniąc za rychłym i pewnym zyskiem, rzuca się na tuzinkowe przedsiębierstwa z przemijającym celem i mierną wartością. Nakłady p. Bartoszewicza mają zawsze cel piękny i trwałą wartość. Na dowód wystarczy obok wydawnictwa biblioteki dziecinnych teatrów amatorskich, druk historyi Schlossera w polskim, bardzo starannym przekładzie. Jest to olbrzymie wydawnictwo wielkiej wagi naukowej, a czysty dochód przeznaczył wydawca na fundusz oświaty ludowej chociaż stosunki jego nie pozwalają na taki stopień ofiarności dla celów publicznych.

Obawa, że w Wiedniu układają plany zniesienia lwowskiego uniwersytetu dla tego, że wykłady odbywają się w nim po polsku, na razie przynajmniej okazała się płonną. W ostatniej chwili wyparł się rząd wszelkiej styczności z tym pomysłem, a jego autor zaręczał w parlamencie, że został źle zrozumiany, gdyż miał na myśli tylko takie zniesienie a raczej ścieśnienie lwowskiego uniwersytetu, które wyszłoby na korzyść wyłączną skąpo wyposażonego w budżecie krakowskiego uniwersytetu. Protest zatem, jaki podniesiono w Galicyi nie pozostał bez skutku. A był to protest głośny i przekonywający, bo nie skończył się na liście otwartym dr. Liskego, o którym pisałem w poprzedniej korespondencyi. Za lwowskim uniwersytetem ujęły się równocześnie i równie energicznie jak profesor Liske dwie korporacye, których głosu nikt w Wiedniu lekceważyć nie może t. j. Wydział sejmowy będący legalnym zastępcą i przedstawicielem kraju a obok niego rada miejska stolicy. Tym razem jest wszelka nadzieja, że ponawiany od kilku lat peryodycznie wniosek zniesienia uniwersytetu lwowskiego na długo został odroczony.

B. Ł.

Przegląd literacki.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana brzeskiego-litewskiego 1714—1765 wydał A. Pawiński. Tomy I—III. Warszawa 1876.

(Dokończenie).

Historye burd i nadużyć w trybunałach i na sejmikach i przypadkowej dowolności, gdy największe przestępstwa uchodziły częstokroć bezkarnie, a z prywatnych pobudek karano surowo błahe przewinienia, szczególniej są obfite. Jaka też mogła być sprawiedliwość i prawo w sądach, świadczy o tem opowiadanie Matuszewicza o sprawie, którą w ogrodzie kowieńskim wytoczył przeciwko niejakiemu Dołnarowi: „taka była śmieszna okoliczność, mówi Matuszewicz, że podstarości Grodzki Kossakowski, mój wielki przyjaciel, w sądzeniu i prawie był nie praktyk, ja także prawa nie rozumiałem i patron mój, Władyczko, prawdziwy kauzypeda, stawać nie umiał, sędzia grodzki Wołodkowicz także był prosta dusza a Siruć pisarz grodzki zawsze prawie był pijany i nieprzytomny. Regent także Montwił prawie nic nie umiał" (I. 62). Nie pytano bowiem wtedy o kwalifikacyą. ale wszelkie urzędy magnaci obsadzali swoimi protegowanymi. Rozgniewany na Matuszewicza Grabowski, za to że mu siostry jego za żonę nie dano, zyskał na Marcinie aż trzy kondemnaty (wyroki zaoczne) bez pozwu za wymyślone jakieś nadużycia: jeden za nieprawy czyn popełniony jakoby przez Marcina w powiecie słonimskim, gdzie, jak powiada, nigdy nie był (I. 87). Oskarżył zaś go Grabowski i zyskał wyrok zaoczny za to, jakoby napadał „w sposób rozboju" na ludzi idących na odpust do Żurowic! Trzeba było bronić się od tej napaści i jeździć po trybunałach. Tenże Grabowski nie wahał się fałszywie przysięgać, a jednak on sam był sędzią grodzkim w Brześciu kolegą Matuszewicza w grodzie.

Na trybunale mińskim 1741 r. toczyła się ciekawa sprawa, której treść taka. Iwanowski kochał się w pannie Borkowskiej i mając się z nią żenić; jeszcze przed ślubem zapisał jej cały swój majątek. Ale młodszy brat Iwanowskiego, chciwy sukcesyi, która mu się wymykła, *„wynalazł*, jak powiada Matuszewicz, pokrewieństwo pomiędzy bratem swoim i Borkowską" tak że konsystorz wileński zakazał im ślub dawać i trzeba było posyłać po dyspensę do Rzymu. Brat starał się i oto, ażeby dyspensę zwlekano, tak że biedny narzeczony ze zgryzoty, nie doczekawszy się dyspensy, umarł. Brat pozajeżdżał zaraz dobra, a dostawszy korespondencyi Borkowskiej, znalazł w nich narzekania na niesprawiedliwość trybunału i wpływy Radziwiłłoskie w jakiejś sprawie. „Umiał to wyperswadować Iwanowski" powiada Matuszewicz „że te listy są paszkwilem na trybunał". Uznano więc za stosowne uwięzić Borkowską i sądzić „jako kolumniatorkę". Zaledwie życzliwi zdołali jej polecić, ażeby skryła się w klasztorze Dominikanek, gdzie kilka tygodni siedziała, dopóki za protekcyą Sapiehy nie dano jej pokoju. Z Iwanowskim prawowała się długo o dobra, ale ledwo 30,000 złotych przez ugodę od niego zyskała. Na tejże sesyi trybunału jeden z deputatów Czyż strzelił przez okno do kolegi swego Łopacińskiego, poczem uciekł a spotkawszy się w drodze z Łopacińskim został przez niego porąbany. Radziwiłowie popierali przeciwko Sapiehom sprawę o znaczną jakąś opiekę. Widząc niechybną przegraną, marszałek trybunalski, przyjaciel Sapiehów, trzy dni nie dopuszczał do głosowania, aż wreszcie stronnicy Sapiehy dali jednemu z deputatów przeciwnego obozu lekarstwo, którego szybki i niedogodny skutek nie pozwolił mu być obecnym na sesyi i tak większością jednego głosu Sapiehowie sprawę wygrali. Nie obeszło się jednak bez zbrojnego wpadania do sali trybunału i bez dobywania szabel; nie skazano wszelako nikogo za to na gardło, jak później Wołodkowicza.

O bójkach i rąbaniach sejmikowych aż do znudzenia wiele obszernych opowiadań. Sam Matuszewicz brał w nich nieraz udział (np. I. 157, II. 40, III. 114). W czasie kadencyi trybunału w Wilnie 1756 r. przyszło do starcia pomiędzy wojskami Radziwiła i Fleminga i do szturmu jednej kamienicy (II, 202).

Słynna sprawa wspomnianego już kilkakrotnie

Michała Wołodkowicza, rozstrzelanego w Mińsku 1759 za pogwałcenie trybunału i porąbanie deputata Dłuskiego, u Matuszewicza przedstawiona z wielu względów w nowem świetle (III 70 — 78). Wołodkowicz, przyjaciel i prawa ręka Karola Radziwiłła, był to niewątpliwie wielki zawadyaka i awanturnik: burdami swemi, z których parę już przytoczyliśmy, nieraz już niewątpliwie, zasłużył był na karę śmierci, ale ostatnia sprawa która go zgubiła, jeśli ją Matuszewicz przedstawił wiernie, nie była wcale tak zbrodniczą, jak ją pragnący jego zguby wrogowie przedstawili. Sprawdziło się tutaj raz jeszcze, że tylko prywata i złość surowo prześladowały wykroczenia lżejsze, wówczas gdy daleko cięższe uchodziły na sucho i tym samym i innym osobom. Według opowiadania Matuszewicza, nie było wcale prawdą, jakoby Wołodkowicz (jak to w urzędowem oskarżeniu za pewnik przyjęto) wpadł do sali trybunału w czasie posiedzeń, porąbał krucyfiks i rękę deputatowi Dłuskiemu. Zajście miało miejsce podczas biesiady i pijatyki, która odbywała się — rzecz dziwna — w samej sali i w czasie posiedzeń trybunału: Matuszewicz wyraźnie powiada, że noszono wino do sali a wice-marszałek trybunalski Morykoni grał w karty gdy regenci dekreta pisali! Miejsce więc sądów było już sprofanowane i musiało to być już we zwyczaju. Wołodkowicz, wszedłszy pijany do sali, zaproponował Morykoniemu ażeby (jak to się często zdarzało, dodaje Matuszewicz) wezwał fajfrów i doboszów do sali dla wykrzykiwania i ogłaszania wiwatów. Morykoni odpowiedział opryskliwie, zkąd przyszło do kłótni; Wołodkowicz zaś, dobywszy szabli i nikogo nie raniąc, bawił się ścinaniem świec; tylko przez nieostrożność ranił deputata Dłuskiego w rękę, ale tak lekko, że rana zgoiła się we 24 godziny. Potem zadzwoniono na ustęp i ogłaszano dekreta na tej pijacko-sądowej sesyi zapadłe. Nazajutrz na obiedzie u Paca Wołodkowicz pogodził się z Morykonim i Dłuskim i wszyscy myśleli, że sprawa, jak nieraz podobne i jeszcze nawet gorsze, ukończoną została. Było to 2 lutego 1759 r. Wszelako pomimo zgody, Morykoni i Wisłouch pisarz postanowili zgubić Wołodkowicza i porozumiawszy się z nieprzyjacielem jego Przezdzieckim napisali do marszałka trybunału Sapiehy i do króla, wystawiając postępek Wołodkowicza w przesadzonem, jak wyżej powiedziano, świetle. Napisali także do ks. Radziwiłła, stawiając go w przykrej alternatywie: albo wystąpienia jako obrońca kryminalisty, albo potępienia własnego przyjaciela. Istotnie też Radziwiłł odpisał, że do tej sprawy mieszać się nie chce. Same listy w tej sprawie wraz z odpowiedziami przytacza całkowicie Matuszewicz. Postanowiono więc zgubę Wołodkowicza i nie wytaczając mu formalnego procesu, ani zawieszając w urzędzie deputata, uradzono tylko schwytać go, gdy d. 12 lutego przyjdzie na sądy. Ruszyło sumienie Żabę, jednego z deputatów: na spowiedzi wyznał księdzu, co czeka Wołodkowicza, prosząc ażeby, pomimo sekretu spowiedzi, odradzono Wołodkowiczowi udawać się tego dnia na sądy; lepiej żeby uciekł lub skrył się w klasztorze. Ksiądz błagał o to Wołodkowicza, ale napróżno; w sali sądowej natychmiast go schwytano i bez procesu, nie dając mu patrona, zaraz wydano dekret na gardło i tegoż dnia o 2 po północy rozstrzelano. Ksiądz Obłoczymski który go w kordegardzie spowiadał, nie zdążył mu nawet dać komunii, gdy bowiem z nią z kościoła przybiegł, już było po wszystkiem. Spieszyli się tak bardzo wrogowie Wołodkowicza, lękając się, aby przyjaciele go nie odbili: jakoś szedł na pomoc przyjacielowi młody Karol Radziwiłł z oddziałem swego wojska, ale gdy przybył do Mińska, już wszystko było skończone.

Najciekawsze są szczegóły o nadużyciach Radziwiłłów: Marcina krajczego litewskiego i jego brata chorążego. Marcin pozwalał sobie dziwnych wybryków, a gdy strofującego o to księdza Suzina kazał obić i wywieść do Wilna, oburzeni przyjaciele księdzą polecili deputatom swoim wnieść o to skargę na księcia „niemniej i drudzy injuriati (pokrzywdzeni) — powiada Matuszewicz — jedni, których krewnych pozabijać kazał, drudzy, którym dwory palić kazał“; skarżyli także i chorążego że nad miarę wojsko nadworne trzyma (1. 192). Radziwiłłowie wszelkimi sposobami starali się nie dopuścić wniesienia tych skarg, ale gdy o wybrykach krajczego były zbyt jawne dowody z zeznań jego faworyta Grabowskiego, przedtem już straconego, niemożna było sprawy całkiem umorzyć, tem bardziej że król i królowa wystąpili przeciw Radziwiłłom. Skończyło się więc na tem, że ks. krajczego uznano za obłąkanego i oddano, jego samego i dobra, w kuratelę bratu ks. chorążemu. Ten przemocą ujął krajczego i zamknął go w zamku bialskim. Przedtem zaś wykryły się rozmaite sprawki krajczego: jak własną żonę i dzieci więził w zamknięciu, o głodzie i smrodzie i t. p. (I. 200).

Sam ów chorąży Radziwiłł skazał na śmierć jakiegoś Lotaryńczyka oficera swego wojska, za to tylko, że tenże pokłóciwszy się z innym oficerem, miał powiedzieć: „komenda twoja niepoczciwa“, co dumny i obraźliwy magnat wziął do siebie. Napróżno Matuszewicz błagał ks. o przebaczenie; padała mu do nóg także ks. krajczyna; żona zaś prosić nie śmiała, ponieważ w umowie ślubnej, powiada Matuszewicz „pomiędzy innemi osobliwszemi kondycyami i to podane sobie miała, ażeby za nikiem nigdy nie instancyonowała“. Nazajutrz przede dniem chorąży. ażeby go instancyami nie niepokojono, wyjechał z Biały o ćwierć mili, a w tym samym czasie kazał ściąć Lotaryńczyka; po egzekucyi zaś wrócił do zamku i tegoż dnia najspokojniej z żoną, z ks. krajczyną i z Matuszewiczem pojechał z wizytą do Czartoryskich. O śmierć Lotaryńczyka nikt się nie upominał (II 85 — 86).

Książe Karol Radziwiłł, zwany „Panie Kochanku“, gdy był marszałkiem trybunału w Mińsku odbywającego się, lubił wesoło czas przepędzać. Oto np. skrócony, słowami Matuszewicza, opis zabawy księcia przy obiedzie: „już ks. marszałek trybunalski był napiły, który kiedy był pijany, już zwyczajnie bywał gwałtowny. Powstał tedy huk, książę kazał dwunastu dragonii swojej wnijść do pokoju, gdzie był stół i pili i kazał im ognia dać w pułap, karabiny były nabite kulami. Zaraz tedy z pułapu pia sek zaczął się sypać, a piec od huku rozwalił się. Weszli dobosze i surmacze janczarscy i węgierscy do pokoju. Zaczęli w bębny bić, trąbić, grać na piszczałkach: huk, pisk, od piasku kurzawa, dym z rozwalonego pieca, hałas pijących i wadzących się, podobną do piekła reprezentowały scenę. W tem Wołodkowicz deputat piński dał Danejce deputatowi nowogrodzkiemu tak mocno w gębę, że ten jak snop padł na ziemię. Książę znowu w tym większym huku kazał przyjść kilkunastu dragonii swojej, aby ognia dawali. Deputaci, przyjaciele ks. kanclerza (Czartoryskiego, niezbyt zgodnego z Radziwiłłami) w ostatnim strachu byli; chcieli oknami uciekać, ale ich nie puszczono. Potem deputaci zaczęli do nóg padać księciu, prosząc aby ich puszczono. Książę kazał zaprządz do karety sześć ogierów tak złych, że kładziono im kagańce żelazne aby się nie gryzły. Gdy zatem kilku deputatów, przyjaciół księcia kanclerza, wsiadło do karety, książę kazał stangretowi i forysiowi zsiąść, a konie tak złe ogiery, puścić wolno, biczami trzaskać i ognia piechocie i dragonii dawać kazał. Deputaci byli w ostatnim strachu; konie, mało co ruszywszy, poczęły gryźć się, poplątały się i powywracały. Smogorzewski, deputat wołkowyski, który do karety wsiąść nie zdążył, zaczął wymyślać księciu, co usłyszawszy (mówi o sobie Matuszewicz) biegłem do niego z wyniesioną ręką, chcąc mu dać w gębę, ale mię Paszkowski porwał w pół i nie puścił. Był on prawdziwym aniołem stróżem moim, dodaje Matuszewicz“ (II, 170). Osoba bowiem deputata była nietykalną i gardłem był karany, kto się na nią porwał! Obawiał się Matuszewicz że mu nie ujdzie bezkarnie to, co dopiero uszło Wołodkowiczowi, serdecznemu przyjacielowi Radziwiłła. Ścigano przecie na gardło Frąckiewicza, deputata pińskiego, ale ten właśnie samego Wołodkowicza, podówczas także deputata, był porąbał (II, 174). Co innego sam marszałek trybunalski Radziwiłł: ten raz kazał dać trzysta nahajów deputatowi Przysieckiemu przez ludzi zamaskowanych (II, 180).

W rodzinie Radziwiłłów często nawet i pomiędzy braćmi zgody nie było: tak np. opowiada kilkakrotnie Matuszewicz o nieporozumieniach pomiędzy ks. wojewodą wileńskim i ks. Chorążym: pierwszy, przyjeżdżając do Warszawy, nie chciał nawet stawać w pałacu brata, lecz wolał gospodę.

Ciekawy jest opis zbytkownego polowania, które książę Chorąży wyprawił królowi w okolicach Warszawy 1759 roku (III, 42—43). Niedźwiedzie, dziki, łosie aż z Litwy ze Słucka sprowadzono w klatkach, inne zwierzęta z Biały i innych dóbr Radziwiłłowskich, a że sanna była puściła, zaczem karami sannemi po błocie, zaprzęgając do jednych kar po kilkanaście koni, prowadzić musiano. Książę Chorąży pod Ujazdowem nad Wisłą kazał parkanami nowemi na pół mili w około opasać pole, a pomiędzy parkanami kazał różnemi drzewami i choiną wysadzić piękne ulice. Pośrodku była salka dla króla na dwa piętra, ozdobiona aksamitem i złotem, wysłana wewnątrz suknem i marmurkami, a na zewnątrz na kilka sążni otoczona rozesłanemi niedźwiedziami. W tej salce siedział król, a psy napędzały do salki zwierza, którego król strzelał. Polowanie trwało 5 godzin. Mnóstwo ludzi przyglądało się temu nowemu widowisku. Układano potem wiersze polskie i łacińskie na cześć tego polowania i samego ks. Chorążego. Tenże ks. Chorąży umarł w 1759 roku: przyczyna jego śmierci, niezbyt budująca, nie da się tu powtórzyć, (patrz u Matuszewicza III, 84). Umarł bez testamentu, z czego skorzystał zausznik jego Wolski, który obawiając się kary za swoje nadużycia (gdyż dawał plagi dworzanom szlachcie, a za niedopilnowanie obławy chłopów wieszał), pospieszył zaraz do brata Chorążego ks. wojewody (ojca ks. Karola) z zawiadomieniem, że to on nie dopuścił napisania testamentu, widząc że Chorąży bratu swych dóbr zapisać nie chciał. Uwierzył ks. hetman temu podstępowi i wziął Wolskiego w protekcyą, a sam sukcesyą po bracie objął. Przy tem powypuszczał wielu więzionych przez Chorążego w lochach zamku bialskiego, „z których kilku, powiada Matuszewicz, z długiego więzienia wyszedłszy na wiatr, pomarło.“ Przysłał hetman swojego syna Karola do Biały na pogrzeb Chorążego, ale ks. Karol o nic nie dbał, ,,tylko pił i swywolił“. O ks. krajczynej, żonie owego wziętego w kuratelę, podaje Matuszewicz, że po śmierci Chorążego lękała się żeby jego spadkobierca nie uwolnił jej męża, ,,gdyż już przywykła do rządzenia sobą i zbierania pieniędzy. Według tedy obrotu białogłowskiego, pisała do ks. hetmana, prosząc u uwolnienie męża z kurateli, ale gdy odpowiedź odebrała, że ks. krajczy nie może być uwolniony, dopiero się

uspokoiła“ (III, 87). Masalscy byli z Radziwiłłami w takiej nieprzyjaźni, że biskup wileński Masalski nie chciał być na pogrzebie ks. hetmana Radziwiłła (III, 182).

Zdarzały się i w samej rodzinie Matuszewiczów rozmaite niezbyt budujące wypadki i zajścia przez Marcina zanotowane. Tak np. rodzice jego mieli w konsystorzu proces o przechowanie jakiegoś srebra kościelnego, który, choć Matuszewicz obwija trochę w bawełnę, musiał być kłopotliwy, skoro posyłano Marcina do Warszawy i do Lublina do biskupa i rzecz nie prędko się załatwiła. Popierał tę sprawę przeciwko Matuszewiczom niejaki Grabowski, rozgniewany za to że dostał odkosza.

Wydawszy córkę za niejakiego Lechnickiego, chociaż ta wolała Sosnowskiego, a więc wbrew jej woli, stary Matuszewicz wkrótce pożałował tego, gdy dowiedział się, że Lechnicki nie ma domu własnego, ani za co kupić koni i karety; niedługo więc myśląc, zięcia w kilka dni wyprawił bez żony, którą zatrzymał i niebawem proces o rozwód rozpoczął. Konsystorz dał rozwód na tej zasadzie, że Matuszewicz, córkę przymusił, za co musiał jeszcze zapłacić 6000 złotych do konsystorza na dobre uczynki. Lechnicki jednak procesował o stracone koszta. Matka zaś Marcina o ten rozwód poróżniła się z mężem i zamieszkała osobno w swojej wiosce w Płockiem.

Mnóstwo innych procesów mieli Matuszewicze w owej pieniackiej epoce, a wszystkie opowiada ze szczegółami aż do znudzenia. Matka Marcina chciała po śmierci męża zagarnąć wszystkie dobra mężowskie; dla tego umyśliła wydać córkę za Ruszczyca, patrona trybunalskiego, mimo jej woli „straszące rózgami.“ Zmusiła ją wreszcie, że nawet w nieobecności matki, niby to dobrowolnie i ukradkiem wzięła ślub z Ruszczycem (I, 118). Taż matka Matuszewicza rządcę dóbr swoich szlachcica Łastowskiego tak mocno kańczukami po gołem ciele bić kazała, że ten wziąwszy kilkaset plag, umarł w dni kilka. Ztąd nowy proces. Ruszczyc, zięć Matuszewiczowej, podał projekt, ażeby Łastowskiego „nieszlachcicem zrobić“ (za zabicie chłopa mniejsza była kara) i w tym celu chciał, ażeby Marcin Matuszewicz sfałszował metrykę Łastowskiego, na co gdy ten przystać nie chciał, sam Ruszczyc fałszerstwa dokonał, Marcin zaś od tego czasu stracił względy matki (I, 127). Wdowę po Łastowskim Matuszewicze uwięzili, a sprawa, przez protekcyę, wzięła taki obrót, że kazano Matuszewiczowej przysiądz iż nie była przyczyną śmierci Łastowskiego, „który jurament dotychczas nie jest wykonany“ dodaje Matuszewicz (wypadek miał miejsce w 1742, pamiętniki zaś swoje Marcin w 1760 r. spisywać zaczął). Jeszcze jeden z niezliczonych swych procesów wszczęła pani Matuszewiczowa przeciwko księdzu Jarockiemu, oskarżając go że kazał w nocy dom jej podpalić. Jakiegoś pastucha brano na „lekkie korporalne konfesaty“ (na tortury) i ten wyznał że ksiądz go do podpalenia namawiał. Z innym znowu księdzem ojciec Marcina miał proces z powodu zamierzonej fundacyi klasztoru: ksiądz ogłosił nawet na niego klątwę z ambony. Brat Marcina Wacław, którego „impet znali wszyscy i wiedzieli o jego akcyach w Paryżu stałych kryminalnych“ miał także proces o zabicie szlachcica Parowińskiego, skończyło się na tem że zapłacił wdowie 3000 złotych „za głowę jej męża i ekspensa prawne“ (I, 190).

Po śmierci ojca, bracia pokrzywdzili Marcina przy podziale majątku i okazali wielką chciwość: odebrali mu nawet szablę złotą, którą mu ojciec był podarował dla tego, że nie miał na tę darowiznę piśmiennego dowodu (II, 31). Na sejmiku w Brześciu było raz wielkie oburzenie przeciwko Matuszewiczom i chciano ich porąbać; przygotowano się też do czytania publicznie listy ich wykroczeń (II, 185). Wuj Marcina Mostowski, starosta piotrkowski, dawał mu obernięte dukaty, jako pożyczkę, żądając zwrotu pożyczki dukatami ważnymi (II, 198).

Z całego już przytoczenia ciekawszych, a tak różnorodnych wiadomości i faktów, które dla poznania tła epoki i ducha społeczeństwa wybraliśmy z dzieła Matuszewicza, widać jak bogaty i wszechstronny materyał dla historyka i badacza obyczajów zawiera się w tych pamiętnikach. Zbytecznem byłoby powtarzać, że wybrane przez nas i wszystkie prawie inne wiadomości, które czytelnicy sami w dziele Matuszewicza odnajdą, potwierdzają tylko słuszne przekonanie, że epoka Sasów, a mianowicie Augusta III, była okresem najsmutniejszej anarchii i zupełnego rozprzężenia i to z winy głównie samych członków tego upadającego społeczeństwa. Matuszewicz bynajmniej nie był pesymistą i obcy był dążności malowania wszystkiego na czarno: owszem, nieraz już powyżej z naszych przytoczeń mogli przekonać się czytelnicy, że sam pan Marcin był najzupełniej synem swojej epoki i w dobrej wierze notuje fakta, po dług niego naturalne i bynajmniej nierażące.

Zasługuje przytem na uznanie jego prawdomowność, którą tylko w rzadkich, jak widzieliśmy wypadkach, podejrzywać można (a mianowicie gdy chodzi o sprawki własnej jego familii): nie pisał bo też do druku, ale, jak powiada, ku domowej potrzebie i wiadomości. Powie kto może, że wybraliśmy z pamiętników rzeczy najbardziej rażące, a pominęliśmy mnóstwo rzeczy pocieszających, chwalebnych i uznania godnych. Na to odpowiemy, że z niewyczerpanego zasobu rzeczy rażących wybraliśmy tylko niewiele, mając z tego rodzaju wiadomościami *embaras de richesse*, jak to mówią francuzi; rzeczy zaś pocieszających i chwalebnych nie znaleźliśmy tam wcale, przynajmniej takich, które warto byłoby podnieść i uwydatnić z naciskiem. Tu i owdzie tylko napotykamy w pamiętnikach przykłady bardzo powszedniej poczciwości, uczuć rodzinnych i t. d. ale nic wydatniejszego. Minęły już czasy ślepego uwielbienia dla przeszłości, które tylko szkodę przynieść może: nie ukrywajmy ciemnych stron i błędów odleglejszej epoki, abyśmy ich na przyszłość ustrzedz się potrafili.

Pamiętniki Matuszewicza, pomimo ich prywatnego z założenia autora charakteru, noszą jednak na sobie cechę literackiego wyrobienia: uporządkowane przez wydawcę podług następstwa lat, płyną jednostajnym potokiem opowiadania w jednym ciągu i nie bez pewnego związku wewnętrznego. Język, podług mody literackiej ówczesnej, naszpikowany tu i owdzie frazesami i wyrazami łacińskiemi, ale zresztą dość poprawny. Są wprawdzie błędy w składni, powtarzania i usterki stylu, już to z zaniedbania, już to z pośpiechu może płynące, ale ich liczba nie jest bardzo znaczną. Wydawca pozostawił je nietkniętemi, podobnie jak cały kształt języka; tylko pisownią wprowadził dzisiejszą. Wydanie pamiętników ozdobne: papier i druk piękny. Nie potrzebujemy dodawać, że dzieło to ciekawe i pouczające, zasługuje na jaknajwiększe rozpowszechnienie.

W.

NOWE WYDAWNICTWA.

Nakładem spółki wydawniczej pod firmą Altenberg i Robitschek, zaczęła wychodzić trzecia serya Albumu fotografii z obrazów malarzy polskich złożona z czternastu fotografii w gabinetowym formacie. Mieszczą się w niej kopie z następujących obrazów:

SERYA III.

1. **Siemiradzki.** Elegia.
2. **Gerson.** Kopernik.
3. **Suchodolski.** Czerkiesi.
4. **Miller.** Leszek Biały.
5. **Maszyński.** Rok 1812.
6. **Głębocki.** Sierota.
7. **Lesser.** Skarbek Habdank. (*)
8. „ Oblężenie Trębowli. (*)
9. „ Młody Bolesław III. (*)
10. **Kostrzewski.** Odpust na wsi. (*)
11. **Brandt.** Obozowisko. (*)
12. **Brodowski.** *Mohort.*
13. **Sypniewski.** Walemor.

Fotografie oznaczone gwiazdkami są zdjęte ze sztychów — wszystkie zaś inne z oryginałów.

Na 14-stą fotografię dla dokompletowania III-ciej Seryi obraz dotąd nie jest wybrany.

Każda serya złożona ze sztuk 14 kosztuje rs. 7, pojedyncze egzemplarze po kop. 50.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 (30) Января 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 5.

N. 1 i N. 23 w N. 6. Ubranie wizytowe z długim paletotem. Krój paletota w 4-tym kwartale roku 1876.

Suknia z faille, w ciemnym kolorze, ma spódnicę garnirowaną plisowaniem gładko przestębnowanem i układanem w sutą riuszę. Paletocik czarny aksamitny, z lekko podwatowaną i pikowaną jedwabną podszewką, zapinane na bogate szmuklerskie guziki, naszyte dwoma rzędami. Kołnierz, mankiety, klapy przy kieszonkach i mufka są z niedźwiadków. Z tyłu przedstawiony paltocik (na ryc. 23 w N. 6), w miejsce futra przybrany jest jedwabnym repsem, któren użyty być może zarówno do aksamitu jak i do *velours* lub innego mtaeryału. Popielaty filcowy kapelusik ubrany aksamitem bronzowym i piórami, a do twarzy podgarnirowany riuszą i różami.

N. 2. Ubranie wizytowe. Podpięcie vêtement z tyłu, podany na ryc. 22 w N. 6.

Ubranie to na modelu miało spódnicę odrobioną z materyi, a długą tunika i stanik kirasowy z popeliny irlandzkiej, tego samego koloru; garnirunek na takowej naszywa się skośnie wzdłuż przodu, bryty zaś tylne są otwarte i podpięte w sposób na ryc. 22 w N. 6 wskazany. Plisowanie drobne 5—8 cent. szerokie, daje się na przemian z popeliny i z materyi, z której jest także w drobne zakładki zaszyta szmizetka, klapki przy staniku, kokardy, plisy środkiem mankietów i wypustki przy staniku. Łatwa forma tuniki i stanika kirasowego, dopasowana być może podług form podanych w roku 1876.

N. 3—13. Ręczniki wyszywane bawełną kolorową.

Materyał: Cienkie płótno albo materyał lniany w drobny deseń przerabiany, bawełna do znaczenia dająca się prać w kolorze: ponsowym, czarnym, niebieskim i żółtym, nici białe zwane *Königsgarn* N. 8. Różne odpowiednie desenie znajdują się na arkuszu z krojami pod N. 1—5. Przed laty używane hafty i wyszycia kolorowe na bieliźnie stołowej i ręcznikach, moda przywraca obecnie na serwety do śniadania i na ręczniki. Już w roku zeszłym podaliśmy próbki podobnej roboty, a w N. 4 z r. b. wskazujemy sposób wykonania ściegu przeciąganego poprzecznie. Inny rodzaj okazałego haftu, na materyale tkanym w drobną wypukłą kratkę czyli w owiesek podamy w N. 6 na ryc. 28. Bawełny użyte do haftu trzeba wypróbować w wodzie wrzącej,ażeby w praniu nie puszczały. Ręczniki z kolorowemi szlakami są także wyrabiane fabrycznie.

N. 3. Ręcznik wyszyty ściegiem krzyżowym. Desenie na arkuszu z krojami N. 1—7.

N. 1—7 podaje desenie w naturalnej wielkości i wskazuje zarazem wielkość ściegów, pod które zawsze jak w robocie krzyżowej, brać trzeba równo, jednakową ilość nitek. Z brzegów tło powinno występować 1 cent. za haft. Ręcznik mieć powinien około 37 cent. szerokości a 136—140 długości. Do roboty użyta przeważnie bawełna ponsowa, z dodaniem w szlaczkach i ozdobach trochę czarnej.

Do dolnego, szerokiego obrębu przyrobiona jest frendzla 12 cent. długa, wiązana z 6 nitek, naprzemian 3 kwasty białe i 3 ponsowe.

N. 4 i 6. Dwa ręczniki wyszyte ściegiem krzyżowym. Zobaczyć ryc 5 i 7.

Desenie na arkuszu z krojami N. 8—16 i 18. Szerokość ręczników 64, długość 150 centymetrów. Robota na 4 nitkach. Frendzla do ryc. 4 siepana w materyale, skręcana i zadziergiwana w sposób wskazany na próbce N. 5. Próbka N. 7 przedstawia frendzlę przyrabianą do obrębu ręcznika ryc. 6, którą odrabia się z sześciu nitek wmięszanych kolorach, użytych do wyszycia deseniu.

N. 8. Ręcznik ze szlakiem kolorowym, i ze wstawkami i oszyciem z siatki gipiurowej. Próbki siatki ryc. 26—27 w N. 6 Tygodnika. Desenie do haftu na arkuszu z krojami N. 19—25.

Na materyale wyrobionym w drobniutką kratę albo owiesek, deseń podany na arkuszu pod N. 19, odrabia się jednym dowolnie wybranym kolorem bawełny. Wstawki z siatki gipiurowej i oszycie u dołu, obwodzi się bawełną kolorową i wszywa okrętką pomiędzy szlaki kolorowe do wązkich obrąbków.

N. 9—12. Ręcznik wyszyty ściegiem poprzecznym, przewłóczonym, z frendzlą zadziergiwaną podług próbki N. 10. Próbki do wyszycia kolorowego ryc. 11 lub 12.

N. 13. Ręcznik haftowany. Deseń ryc. 28 w N. 6 Tygodnika.



N. 1. Ubranie wizytowe z długim paletotem. Patrz ryc. 23 w N. 6.

N. 2. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 22 w N. 6.

Na tle tkanym w owiesek, odrobiony jest 2-ma lub 3-ma kolorami deseń podany w naturalnej wielkości w N. 6 ryc. 28. Taki rodzaj haftu używany był przez pracowite prababki nasze; rodzaje ściegów i zmiany kolorów dokładnie wskazane są na deseniu. Na modelu kontury odrobione były bawełną ponsową, a różne ściegi w środku nićmi grubemi, białemi świecącemi. Frendzla z nagłówkiem siatkowym, przyrabiana do obrąbka, jest na przemian biała i ponsowa.

N. 14—15. Szlaczki do ryc. 32 w N. 6.

N. 16—17. Paletociki z wcinanemi pleckami dla panienek lat 9—12. Krój N. XII Fig. 43—48.

Czarny aksamitny paletocik służyć mogący do takiej samej lub do każdej wełnianej sukienki, na modelu ozdobiony był tylko wypustkami z materyi i guzikami szmuklerskiemi. Podług tej samej formy odrobić można paltocik z kortu lub innego ciepłego materyału, a oszyć futrem, pletnią, lub plisami z repsu jedwabnego.

N. 18. Kapelusik dla chłopczyka lat 1—2.

Kapelusik odrobić można bez formy, z białego, grubego trykotowego materyału, z cienkiej flaneli albo kaszmiru. Główkę stanowi okrąg mający 32 cent. średnicy, podszyty sztywnym muślinem i perkalem białym; z boków zaszyty w 4 fałdy 3—4 cent. głębokie, tak ażeby główka miała 46 cent. obwodu. Poczem oszywa ją się drutem i obejmuje listewką, a w środku załamuje się w głęboką fałdę niewidoczną na ryc. 18. Obłożenie stanowi pasek skośny 5 cent. szeroki, podszyty fularem i cokolwiek podwatowany, na prawą stronę przyszyty i gładko w górę wywinięty. Z boku przypięte piórko ułożone z angorowej frendzli. Dla ciepła dodane uszy z podwatowanej materyi, 6 cent. długie a 5 szerokie, do których przyszyte są wstążki do wiązania pod brodą.

N. 19. Kapotka dla małej dziewczynki. Krój i opis na arkuszu z formami, N. III, Fig. 11—12.

N. 20. Gorset zdobny rzędami stębnówki. Krój podług ryc. 6 w N. 1 Tygodnika.

Tylko osoby doskonale obeznane z krojem i szyciem, mogą przedsiębrać robotę gorseta, w którym najmniejsza uchybienie psuje zupełnie formę. Model odrobiony był z szarego kiprowanego materyału, na białej jedwabnej podszewce. Pomiędzy gęste stębnówki wewleczone były cienkie fiszbiny przyszyte u góry i dołu kolorowym jedwabiem. Brzegi gorseta obięte wstążeczką kolorową, prócz tego w górze dodana wstawka koronkowa przewleczona wstążeczką i oszyta koronką.

N. 21—22. Pantofel haftowany na skórze, deseń Fig. 22 na arkuszu z krojami. Inny deseń do haftu na suknie ryc. 22.

Podany model pantofla tem głównie zasługuje na uwagę, że może być w zupełności własnoręcznie wykończony; podeszwa albowiem jest filcowa, jakie gotowe sprzedają w sklepach. Pod pantofel wyhaftowany na skórze lub suknie kolorowemi kordonkami, daje się jedwabną podszewkę, następnie przyszywa go się $^1/_2$ cent. od brzegu do podeszwy do której przylegać powinny wystające brzegi przyszycia. Następnie pantofel przewraca się na prawą stronę, brzeg górny oszywa futerkiem, dodaje się w środek drugą podeszwę cokolwiek podwatowaną, od spodu perkalową z wierzchu materyą pokrytą, którą się gumą wkleja do pantofla. Kontury deseniu ryc. 22 odznaczone były na suknie ponsowym sznureczkiem jasno-

szafirowym, a muszki odrobione kordonkiem jasno-szafirowym i srebrno-popielatym.

N. 23—25. Baryłeczka do cygar, ozdobiona robotą szydełkową.

Drewniana baryłeczka do wstawiania cygar, od dołu i góry oklejona jest skórą popielatą, w środku zaś ozdobiona szlakiem szydełkowym 6 cent. szerokim, któren robi się w koło kordonkami kolorowemi, a zaczyna łańcuszkiem długości odpowiedniej do środkowej objętości baryłki. Zawsze jednak liczba oczek musi dać się dzielić przez 20, ażeby skośne pasy, na przemian ponsowe i czarne, liczące po o. 10 dobrze wypadały w koło. Przy zaczęciu i skończeniu szlaku, obrabia się raz ponsowym, 1 żółtym, 1 czarnym, znów ponsowym i żółtym kordonkiem; przy zakończeniu zaczynając od żółtego. Rzucik ożywiający paski skośne, na tle czarnym ma środkowe paski zielone a brzeżne ponsowe, na ponsowym brzeżne czarne a środkowe także zielone. Brzegi pasów odznaczają o. żółte. Nitki zmieniając się w robocie wrabiają się środkiem roboty, albo pozostawiają z lewej strony. Inny szlaczek haftowany kolorami na suknie ponsowym, przedstawia ryc. 25.



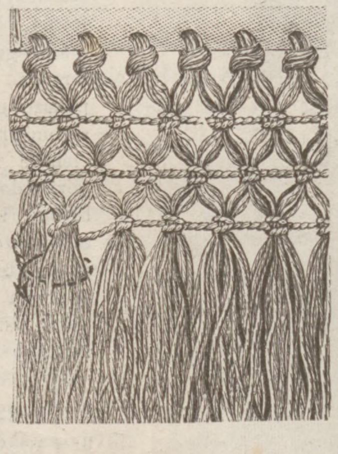
N. 8. Ręcznik ze szlakami kolorowemi i z wstawkami i oszyciem z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 26 i 27 w N-rze 6. Deseń szlaku na arkuszu N. 19—25.

N. 26—27. Sukienka dla dzieci lat 2—3. Krój N. XIII, Fig. 49—55.

Podług powyższej formy przykrojone i odszyte flanelkowe sukienki, są przez całą długość z przodu zapinane na guziki; pod karczek daje się podszewkę, fałdy są w pasie przestębnowane, a następnie paskiem przepasane. Naszycie z taśmy wełnianej $1\frac{1}{2}$—2 cent. szerokiej.

N. 28—29. Zwierzchnia sukienka dla chłopczyków. Krój N. I. Fig. 1—5.

Zwierzchnią spacerową sukienkę odrobić można z sukna lub innego ciepłego materyału i oszyć barankami krymskiemi lub innym futrem. Przody zapinają się skośnie na guziki.



N. 7. Frendzla do ryc. 6.

N. 30. Koroneczka z mignardisse, roboty szydełkowej i ściegu koronkowego.

N. 31. Koroneczka z tasiemki medaljonowej i roboty szydełkowej.

N. 2. Kapturek z chustki trójkątnej.

Trójkątnie odrobiona, albo skośnie przecięta kwadratowa chustka robiona na maszynie, służy do upięcia kapturka. Brzeg skośny 240 cent. długi, zakończa się obrębem 15 cent. szerokim, w któren nawłóczy się kolorową, 4—5 cent. szeroką wstążkę, obraca do dołu i przymarszcza na wstążce podług potrzeby. Róg zaś chustki obrócony do czoła fałduje się i przyczepia do czółka ze sztywnego tiulu, oszytego agremanem. Pozostałe brzegi proste, powinny mieć jeszcze 115 cent. długości. Kokardy ze wstążki służą do przybrania kapturka, którego ułożenie wymaga wprawnej i zręcznej ręki.

N. 33. Kotek do ocierania piór. Krój i opis na arkuszu z krojami N. VII, Fig. 21.



N. 3. Ręcznik wyszyty ściegiem krzyżowym. Deseń wyszycia na arkuszu N. 1—7.



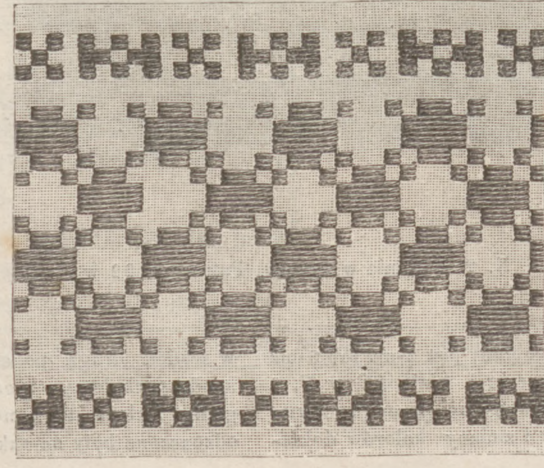
N. 4 i 6. Ręczniki wyszyte ściegiem krzyżowym. Patrz ryc. 5 i 7. Deseń wyszycia na arkuszu N. 18 i 8—16.



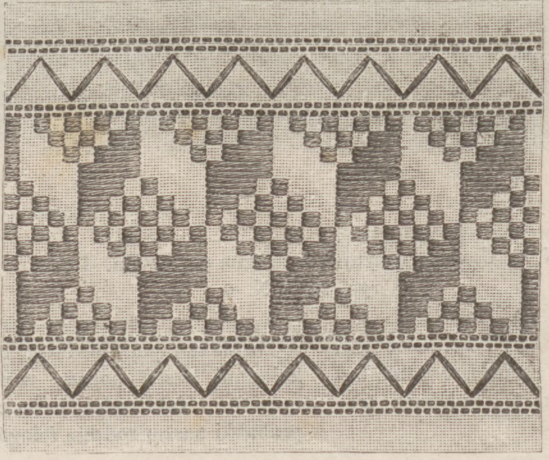
N. 9. Ręcznik wyszyty ściegiem poprzecznym. Frendzlę odpowiednią podaje ryc. 10, szlak ryc. 11.



N. 5. Szlaczek brzeżny i frendzla do ryc. 4.



N. 11. Szlak wyszyty ściegiem poprzecznym, do ryc. 9.

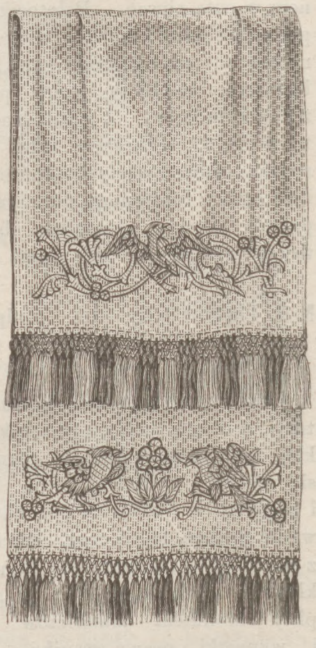


N. 12. Szlak wyszyty ściegiem poprzecznym do ryc. 9.

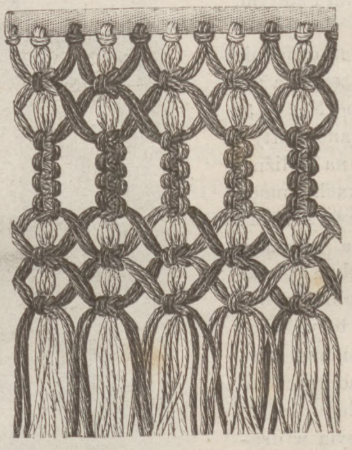
Ścieg poprzeczny opisaliśmy szczegółowo w N-rze 4.

N. 34. Ubranko z barbką robioną szydełkiem i z ząbków z tasiemeczki. Część jednego owalu w naturalnej wielkości, ryc. 31 w N. 6.

Barbka robiona z cieniutkich nici maszynowych (N. 90) w połączeniu z gwiazdki z tasiemeczki, zarobiona tłem cienkiem i przezroczystem, tak dobrze naśladuje koronkę iż ją bezpiecznie dodać można do strojnego ubranka. Model był z aksamitu cardinal, przewiniętego w koło głowy na sztywnym agremanie, z białem strusiem piórem i kwiatem złotawego koloru przypiętym z przodu. Barbka mająca 106 cent. długości ma część środkową równą, $5\frac{1}{2}$ cent szeroką, a z brzegów po cztery medaljony $8\frac{1}{2}$ cent. szerokie a 11 długie. Brzegi barbki stanowią gwiazdki zeszywane z ośmiu ząbków cienkiej plecionki, od zewnętrznego brzegu obrobione ząbkami i słupkami szydełkowemi. W końcach na połączeniu medaljonów umieszczone figury szydełkowe, złożone z trzech gałązek, z których każda z trzech oddzielnych listków. Na każden listek robi się najpierw 27 o. powietrznych, następnie w 5-te o. od końca łańcuszka 1 o. ści., 2 o. pow., 1 słu. raz nawinięty, 2 pow. 1 słu. podwójny, 2 o. pow. 1 sł. potrójny, 2 pow., 1 słu. poczwórny na drugą połowę listka słupek potrójny, podwójny i pojedyńczy, przedzielane 2-ma o. pow.; potem 1 o. ści., 1 ścisłe łańcuszkowe, w dwa następne o. łańcuszka. Taki listek śpiczasty w końcach, obrabia się w koło o. ścisłemi; w dalszym ciągu robi się dwa takie same listki złączone w środku słupkami. Do drugiej gałązki daje się korzonek z 5 o. łań., obrobiony o. ścisłemi. Tło w medaljonach i środkowej części barbki zapełnione jest słupkami krzyżowanemi, przerabianemi o. pow.; rzędy słupków robione tam i napowrót, przyczepiane w końcach do gwiazdek, powinny mijać się w sposób na próbce wskazany, gdyż tym sposobem imituje tło fabrycznie koronkowe.



N. 13. Ręcznik haftowany w staroświeckim guście. Deseń podamy w N-rze 6.



N. 10. Frendzla robotą wiązaną do ryc. 9.

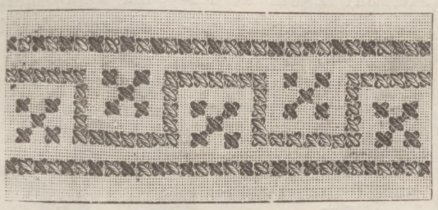
N. 35. Czepeczek negliżowy.

Skośnie ukrojone owalne denko muślinowe, mające 30 cent. szerokości a 40 długości, fałduje się z przodu i z tyłu i wszywa w wązki pasek muślinowy, nad czołem i w środku z tyłu w ząb zaszyty, około 50 cent. długi. Plisowanie 8 cent. szerokie, ułożone z tiulu oszytego koronką, a podłożone wstążką kolorową 3 cent. szeroką, naszyte jest w koło na pasku, końce zas łącznie 25 cent. długie stanowią z tyłu pentlę kokardą złączoną. Na kokardy upięte w sposób na ryc. 35 wskazany, użyta wstążka w kratę, 6 cent. szeroka.

N. 36—38. Sukienki formą princesse dla panienek lat 9—12. Krój N. XI, Fig. 38—42-a.

Suknie formą princesse ciągle zarówno dla dzieci jak i dla osób dorosłych są używane, oprócz więc form podanych w roku przeszłym dajemy jeszcze dziś krój nowy, któren łatwo podług wzrostu może być zmniejszony lub powiększony. Sukienki dla dzieci bywają małe, lub wcale bez garnirunków, tylko ozdobione wypustkami przy szwach, kieszonkach i szarfach lub plisach. Modele przedstawione na ryc. 36—38, różniły się tylko materyałem, rodzajem zapięcia i przybrania,

przy zupełnie jednakowym kroju. Ryc. 36 przedstawia z przodu zapinaną sukienkę alpagową popielatą z wypustkami i guzikami koloru cardinal; do strojnych sukienek wypustki i szarfę daje się z materyi, taką sukienkę z czarnego aksamitu z jasno-niebieską szarfą i wypustkami, widzimy właśnie na ryc. 37; do niej przeznaczony był paltocik aksamitny przedstawiony z tyłu i z przodu na ryc. 16, 17. Skośnie na trzy rzędy guzików z konchy perłowej zapinana sukienka, ryc. 38 była z jasno-niebieskiego kaszmiru, oszyta drobnem plisowaniem z białego muślinu.



N. 14. Szlaczek wyszyty krzyżykami bawełną ponsową i szafirową.



N. 16—17. Paletociki z wcinanemi pleckami, dla panienek lat 6—12. Krój na arkuszu N. XII. Fig. 43—48.



N. 15. Szlaczek wyszyty ściegiem luźnym bawełną szafirową i ponsową.

N. 39. Sukienka w kratę, dla panienki lat 9—12.

Model sukienki składał się ze spódniczki wełnianej w kratę, i stanika bluzkowego. Czarny aksamitny pasek założony w 3 fałdy, zapięty był z boków kokardą. Rękawy wązkie przy ręce, przy zewnętrznym szwie zapinane na 3 guziczki.

N. 40. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój jak do ryc. 7—9 w N. 1 Tygodnika.

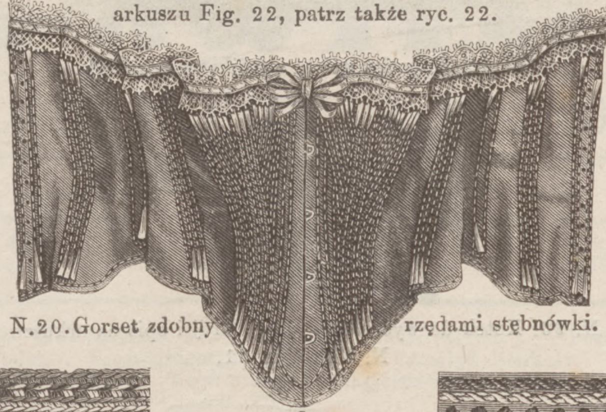
Majtki, kamizelka i bluzka z materyału wełnianego w jednym kolorze. Dla małych chłopczyków dodaje się kołnierz marynarski z czarnego repsu, albo biały płócienny ozdobiony haftem lub gładki.



N. 18. Czapeczka dla chłopca lat 1—2.



N. 21. Pantofel haftowany na skórze. Deseń haftu na arkuszu Fig. 22, patrz także ryc. 22.



N. 20. Gorset zdobny rzędami stębnówki.



N. 19. Kapotka dla dziewczynki. Krój i opis na arkuszu N. III, Fig. 11—12.

Opis do N. 6.



N. 24. Część roboty szydełkowej do ryc. 23.



N. 23. Baryłeczka do cygar. Patrz ryc. 24—25.



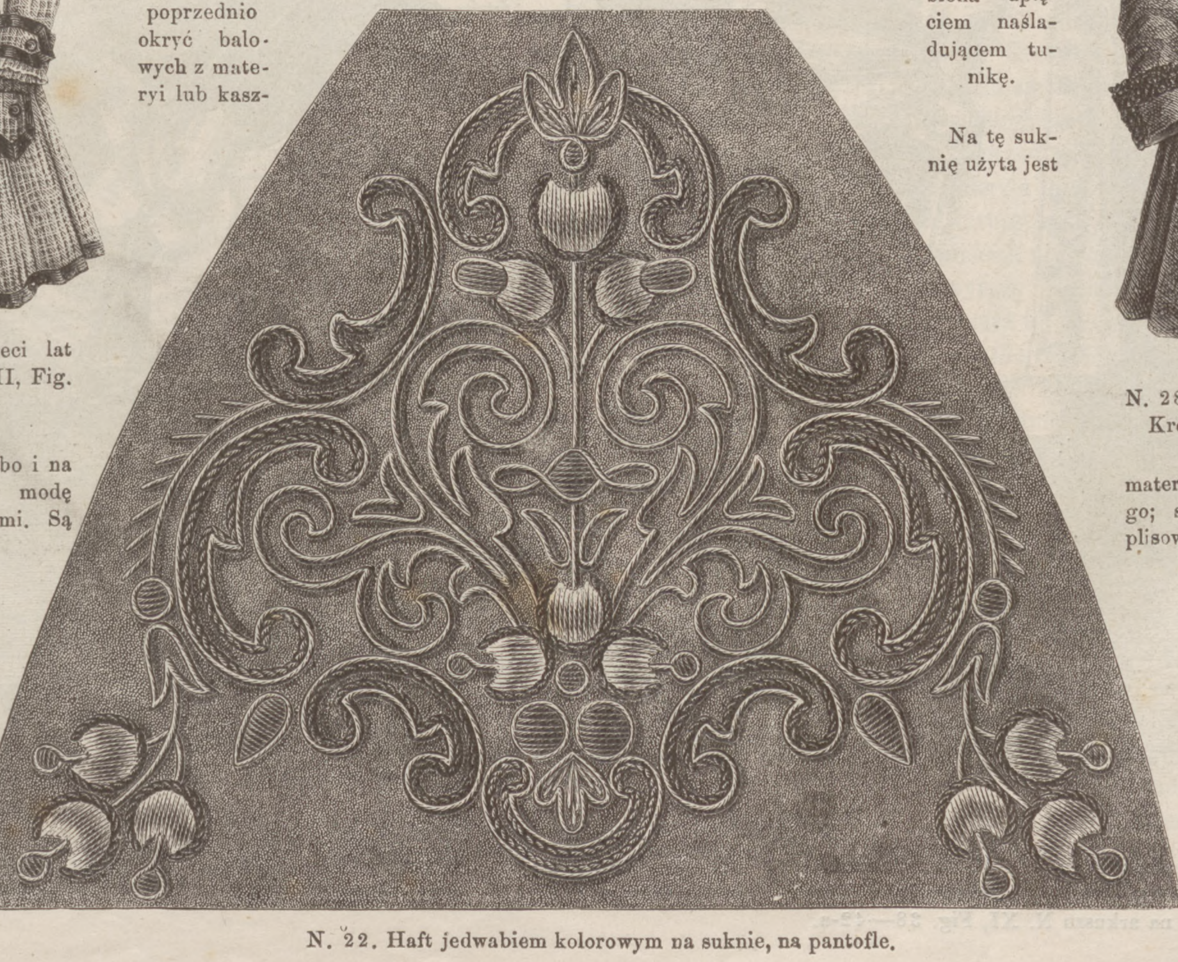
N. 25. Haft na materyi odpowiedni do ryc. 23.

N. 1. Okrycie z kapturkiem do teatru lub t. p.

W miejsce używanych poprzednio okryć balowych z materyi lub kaszmiru białego, na podszewce albo i na wacie, zaczynają wchodzić w modę włóczkowe zarzutki z kapturkami. Są one robione fabrycznie w ładne desenie naśladujące koronkę; osoby wprawne w robotę na drutach mogą wykonać je własnoręcznie, dodając szlak oddzielnie zrobiony podług próbek jakich wiele zamieszczamy w Tygodniku. Można tu także zastosować robotę w ramach z włóczki i filozeli, a z brzegów zamiast szlaku dać frendzlę.



N. 26—27. Sukienki dla dzieci lat 2—3. Krój na arkuszu N. XIII, Fig. 49—65, 1—15.



N. 22. Haft jedwabiem kolorowym na suknie, na pantofle.

N. 2. Kołnierzyk płócienny i chusteczka koronkowa.

Przy powszechnie noszonych płóciennych kołnierzykach stojących z lekko odwiniętymi rogami, niezbędne są krawatki jedwabne lub tiulowe, jeżeli jednak chcemy ubrać się strojniej to krawatkę zastąpić powinna chusteczka koronkowa biała lub czarna, której końce przerzucają się lekko z przodu i przytrzymują kokardą lub kwiatem. Chusteczka może być trójkątna lub kwadratowa złożona w trójkąt i podpięta kokardą; można także użyć wyszły z mody fanszonik z końcami.

N. 3—7. Ubrania wizytowe. Wskazanie kroju sukien formą princesse podaliśmy na arkuszu z krojami pod N. VIII, Fig. 24—28-a i 24-b.

N. 3. Suknia princesse z podłużnym wykrojem, zapinana z boku (Na fig. 24 b naznaczone jest linijią zapięcie). Odszyta z materyi jedwabnej adamaszkowej, jasnego koloru; falbanki i kołnierz z gładkiej faille. Wachlarz zawieszony na grubym jedwabnym sznurze z kapucyńskiemi węzłami. Gałązki róż z prawej strony przy sukni, przy kołnierzu i we włosach.

N. 4. Suknia princesse wycięta w carré.

Wykrój powinien być dopasowany na osobie; zapięcie sukni najlepiej urządzić wzdłuż pleców. Rycina 4 przedstawia suknię z materyału gładkiego wełnianego, mającego połysk materyi, wykrój zdobny wszywką koronkową i jedwabnemi plisami; brzegiem dane plisowanie z crêpe lisse.

N. 5. Princesse zapinana z tyłu, ozdobiona upięciem naśladującem tunikę.

Na tę suknię użyta jest materya faille koloru blado-zielonawego; samym brzegiem u dołu naszyte plisowanie. Rękawy sięgające do łokci ozdobione plisowanemi falbankami. Draperya przerzucona poprzecznie upięta z prostego bryta srebrzystej jedwabnej gazy, liczącego 79 cent. szerokości a 250 długości, oszytego z brzegów wszywką i koronką; szarfa z atlasu. Głowę zdobią gałązki powoju.

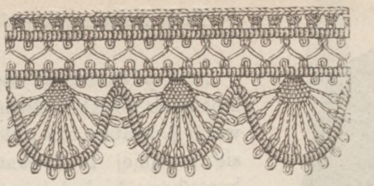


N. 28—29. Sukienka dla chłopczyka. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—5.

N. 6. Suknia z vêtement.

Za materyał służy faille

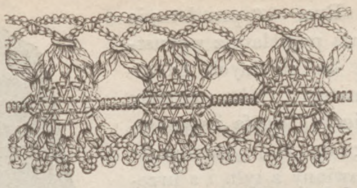
srebrno-popielatego koloru; dolny garnirunek dany z faille i atłasu tego co suknia koloru. Vêtement oszyte atłasową plisą i falbanką marszczoną; kołnierz objęty wypustką z atłasu i podgarnirowany koronką. Chustka czarna koronkowa narzucona jako okrycie.



N. 30. Ząbki z mignardisse spajanej igłą.



N. 32. Kapotka upięta z trójkątnej chustki.



N. 31. Ząbki szydełkowe z plecionką medaljonową.

N. 7. Suknia z vêtement formą fraka.

Takie odrobienie sukni nadaje się tylko do ciężkich materyałów, a najstrojniej przedstawia się wykończone z dwojakiego materyału i w dwóch kolorach lub cieniach. Suknia którą przedstawiliśmy na rycinie 7 była ze srebrno-popielatej popeliny jedwabnej i aksamitu koloru ciemno cardinal; spódnica z trenem suto przyozdobiona jest falbaneczkami plisowanemi po 6 cent. szerokiemi i plisami aksamitnemi po 13 cent. szerokości. Vêtement ma z tyłu formę fraka z długiemi szose a przody jak przy staniku z baskiną ozdobione ranwersami aksamitnemi, podpięte są u dołu z boków guzikami i dopełnione częściami aksamitnemi oszytemi frendzlą jedwabną 22 cent. szeroką; szose są z tyłu



N. 34. Ubranko z barbką szydełkową. Część barbki podamy w N-rze 6.

do pasa rozcięte, z boku zaś są niewidocznie złączone z aksamitnemi przodami. Długość fraka wynosi z tyłu 100 cent. a z przodu do frendzli 67.

N. 8 — 12. Trzy męzkie koszule do ubrania domowego, wizytowego i balowego. Krój kołnierzy i mankietów na arkuszu N. IV, VI, Fig. 13—20.

Z trzech załączonych rycin przedstawiających koszule z kołnierzami, mankietami i krawatami można poznać różnicę zachodzącą między koszulą do ubrania domowego, wizytowego i balowego. Wszystkie trzy modele przedstawiają koszule zapinę z tyłu, są one bardzo praktyczne bo chronią gorse od gniecenia zapinaniem i rozpinaniem; tutaj zapinki wkładają się w świeżą koszulę i nie potrzebują wyjmować aż do prania; kołnierzyki tylko muszą być przypinane. Krój koszul męzkich znajdą czytelniczki w przeszłorocznych lub dawniejszych N-rach Tygodnika, nie uległ on żadnym zmianom, gorse tylko przy koszulach do ubrania wizytowego i balowego zdobią drobnym haftem. Do czarnego wizytowego garnituru koszula ma tylko haft przy dziurkach od zapinek, krawat powinien być czarny, do zwykłego ubrania można używać krawatów kolorowych. Rycina 10 przedstawia koszulę balową z haftowanym gorsem, kołnierzem stojącym z końcami wypukło odwiniętemi i mankietami otwartemi. Krój podaliśmy na arkuszu pod N. IV, Fig. 13—14.

Każdy drobny desenik haftu atłaskowego może być odrobiony na gorsie; rycina 12 załącza także wzór odpowiedni. Stojący kołnierzyk nie ma żadnego paska; krawatka z białego batystu.



N. 33. Kotek do wycierania piór. Krój i opis na arkuszu N. VII, Fig. 21.

N. 13. Paź do podnoszenia sukien.

Pazie do unoszenia trenów wchodzą bardzo w użycie; urządzają je w rozmaity sposób z różnych materyałów. Model załączony na ryc. 13 można przygotować własnoręcznie: składa on się z grubego czarnego jedwabnego sznura 125 cent. długiego, który w jednym końcu zaszyty jest w pentelkę 5 cent., w drugim 15 cent. długą. Kokarda z wstążki repsowej 5 1/2 cent. szerokiej; przyszyta jest w górze nad pentelką i ma od spodu przytwierdzony mocny haczyk na który zapina się mniejsza pentelka po otoczeniu sznura w pasie; na końcu dużej pentelki przymocowany 8 cent. długi druciany pazik przytrzymujący zebrany tren i przysłonięty zwierzchu sutą kokardą, którą układa się podług ryc. 13.

(d. n.)



N. 35. Czepeczek negliżowy.



N. 36 — 40. Ubrania dla dzieci lat 9 — 12.

N. 36. Sukienka princesse zapinana z przodu. N. 39. Sukienka z materyału w kratę. Krój sukni na arkuszu N. XI, Fig. 38—42-a. N. 40. Ubranie dla chłopca. N. 37. Sukienka princesse zdobna szarfą. N. 38. Sukienka princesse zapinana skośnie.